

O SZTUCE MIŁOŚCI

I. CZY MIŁOŚĆ JEST SZTUKĄ?

Czy miłość jest sztuką? Jeżeli tak, to wymaga wiedzy i wysiłku. A może miłość jest przyjemnym uczuciem, którego zaznanie jest sprawą przypadku, czymś, co się zdarza, jeśli człowiek ma szczęście? Niniejsza książeczka opowiada się za pierwszym sposobem jej pojmowania, podczas gdy niewątpliwie większość ludzi przyjmuje dzisiaj tę drugą interpretację.

Dzieje się tak nie dlatego, by ludzie uważali, że miłość nie jest rzeczą ważną. Nie, ludzie jej pragną, oglądają niezliczone filmy o szczęśliwych i nieszczęśliwych perypetiach miłosnych, słuchają setek marnych przebojów o miłości - ale mało kto pomyśli, że istnieje coś, czego w sprawie miłości trzeba się nauczyć.

Taka szczególna postawa wynika z szeregu przesłanek, które każda z osobna i wszystkie razem skłaniają do zajęcia takiego stanowiska. Dla większości ludzi problem miłości tkwi przede wszystkim w tym, żeby b y ć k o c h a n y m , a nie w tym, by k o c h a ć, by umieć kochać. Dlatego też główną sprawą dla nich jest, jak zdobyć czyjąś miłość, co zrobić, żeby wzbudzić uczucie. W pogoni za tym celem próbują różnych metod. Jedną z nich, której chwytają się zwłaszcza mężczyźni, jest zdobywanie powodzenia, mocnej pozycji życiowej i pieniędzy w takiej skali, na jaką pozwala społeczna sytuacja danego człowieka. Inna metoda, szczególnie ulubiona przez kobiety, to dbałość o wygląd oraz pielęgnację ciała, stroje itd. Inne sposoby zdobywania sobie otoczenia, stosowane zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety, to miły sposób bycia, umiejętność prowadzenia ciekawej rozmowy, gotowość do okazywania ludziom pomocy, skromność i łagodność. Takich samych zabiegów, jakie mają prowadzić do zdobycia czyjejś miłości, używa się zresztą, aby osiągnąć powodzenie w życiu, aby zdobyć sobie przyjaciół i wpływowych ludzi. W mniemaniu większości ludzi naszego kręgu kulturalnego umieć zdobywać miłość to znaczy po prostu być sympatycznym i pociągającym fizycznie.

Drugą przesłanką, z której wynika pogląd, że o miłości niczego nie można się nauczyć, jest przekonanie, że problem miłości to problem obiektu, a nie problem zdolności. Ludzie myślą, że kochać to rzecz prosta, natomiast trudne jest znalezienie właściwego obiektu miłości, zdobycie czyjegoś uczucia. Na kształtowanie takiej postawy wpłynęło szereg przyczyn głęboko zakorzenionych w rozwoju dzisiejszego społeczeństwa. Jedną z nich jest wielka przemiana, jaka zaszła w dwudziestym wieku w wyborze „obektu miłości”. W epoce wiktoriańskiej, tak samo jak w wielu tradycyjnych kulturach, miłość w większości wypadków nie była spontanicznym, osobistym przeżyciem, które następnie miało prowadzić do małżeństwa. Wprost przeciwnie - małżeństwo zawierano na zasadzie umowy między zainteresowanymi rodzinami albo aranżowanej przez zawodowego swata, albo też bez tego rodzaju pośrednictwa; małżeństwo zawierano opierając się na względach natury społecznej, zakładając, że miłość rozwinie się już w czasie jego trwania. Od kilku pokoleń w całym świecie zachodnim zapanowało jednak niemal powszechnie pojęcie miłości romantycznej. W Stanach Zjednoczonych, choć zawieranie małżeństw na zasadzie umowy zdarza się jeszcze niekiedy, ludzie w ogromnej większości szukają „miłości romantycznej”, jakiegoś osobistego uczucia, które następnie powinno prowadzić do małżeństwa. To nowe pojęcie swobody w miłości musiało w znacznym stopniu uwypuklić ważność obiektu w stosunku do ważności funkcji.

Z tym czynnikiem ściśle wiąże się inny charakterystyczny rys współczesnej kultury. Cała nasza kultura opiera się na żądzy kupna, na idei wymiany korzystnej dla obu stron. Szczęście współczesnego człowieka to ów dreszczyk, jakiego doznaje oglądając wystawy sklepowe i nabywając to wszystko, na co może sobie pozwolić kupując za gotówkę lub na raty. On (lub ona) w podobny sposób patrzą na ludzi. Dla mężczyzny pociągająca kobieta, dla kobiety pociągający mężczyzna - są zdobyczą, której nawzajem szukają. „Pociągający” oznacza zazwyczaj zestaw właściwości poszukiwanych na ludzkim rynku. To, co czyni danego człowieka pociągającym, zależy od mody obowiązującej w danym okresie, i to zarówno pod względem psychicznym, jak fizycznym. W latach dwudziestych pociągająca dziewczyna piła, paliła, była dzielna i miała *sex appeal*, dzisiejsza moda wymaga od kobiety raczej cnót domowych oraz skromności. U schyłku dziewiętnastego wieku i w początkach naszego stulecia mężczyzna, aby być pożądanym „towarem”, musiał być agresywny i ambitny - dzisiaj wymaga się, by był towarzyski i tolerancyjny. W każdym razie uczucia miłosne kieruje się zazwyczaj jedynie ku takiemu ludzkiemu towarowi, który można zdobyć biorąc pod uwagę własne możliwości wymienne. Szukam korzystnego kupna; obiekt powinien być pożądanym z punktu widzenia jego walorów społecznych, a równocześnie powinien chcieć mnie, ceniąc

należycie moje widoczne i ukryte aktywa oraz możliwości. Tak więc dwie osoby zakochują się w sobie, kiedy czują, że znalazły najlepszy osiągalny na rynku obiekt, uwzględniając przy tym obustronne wartości wymienne. Często, podobnie jak przy nabywaniu nieruchomości, odgrywają dużą rolę przy tych transakcjach ukryte możliwości, które mogą się w przyszłości zrealizować.

Nie należy się specjalnie dziwić, że w kulturze, w której przeważa orientacja handlowa i w której sukces materialny jest najwyższą wartością, stosunki w dziedzinie ludzkiej miłości podlegają temu samemu schematowi wymiany, jaki rządzi rynkiem towarowym czy rynkiem pracy.

Trzecim błędem prowadzącym do przekonania, że nie można się niczego nauczyć w sprawach miłości, jest pomieszanie początkowego uczucia z *a k o c h a n i a* s i ę ze stałym *s t a n e m k o c h a n i a* lub też, jak można by to lepiej wyrazić, „pozostawania w miłości”. Jeśli dwoje ludzi, zupełnie sobie obcych, pozwala nagle, aby dzielący ich mur runął, zaczynają nagle czuć się sobie bliscy, to właśnie ten moment doznania jedności jest jednym z najbardziej radosnych, najbardziej podniecających przeżyć w życiu. Jest on tym wspanialszy i cudowniejszy dla ludzi, którzy byli dotąd odizolowani, odcięci, pozbawieni miłości. Temu cudowi nagłego zbliżenia dość często pomaga połączony z nim albo też przezeń zrodzony pociąg fizyczny i jego zaspokojenie. Jednakże tego rodzaju miłość z samej swej natury jest nietrwała. Dwoje ludzi dobrze się poznaje, ich zażyłość w coraz większym stopniu zatracą swój cudowny charakter, aż w końcu antagonizmy i rozczarowania, wzajemne znudzenie się sobą zabiją to, co zostało jeszcze z początkowego podekscytowania. Jednak z początku ludzie nie zdają sobie z tego sprawy: intensywność szaleńczej miłości, „wariowanie” na swoim punkcie biorą za dowód potęgi miłości, podczas gdy może to jedynie dowodzić, jak bardzo byli osamotnieni poprzednio.

Przekonanie, że nie ma rzeczy łatwiejszej niż miłość, utrzymywało się jako powszechny pogląd wbrew przytłaczającym dowodom świadczącym o czymś wręcz przeciwnym. Nie ma chyba sprawy, którą byśmy podejmowali z takimi zawrotnymi nadziejami i tak pełni oczekiwania, która by jednak zawodziła z taką regularnością jak miłość. Gdyby to dotyczyło jakiegokolwiek innej działalności, ludzie robiliby wszystko, aby dowiedzieć się, jakie są *przyczyny* tego niepowodzenia, chcieliby się nauczyć, jak można postępować lepiej — lub zaniechaliby tego działania. Ponieważ ta ostatnia ewentualność, jeśli chodzi o miłość, jest niemożliwa, wydaje się, że istnieje tylko jeden skuteczny sposób, by uniknąć niepowodzenia w miłości: zbadać przyczyny tego niepowodzenia i *zabrać* się do studiowania znaczenia miłości.

Pierwszym krokiem, jaki należy zrobić, to uświadomić sobie, że miłość jest sztuką, tak samo jak sztuką jest życie; jeżeli chcemy nauczyć się kochać, musimy postępować w sposób identyczny jak wówczas, gdy chcemy nauczyć się jakiegokolwiek innej sztuki, powiedzmy muzyki, malarstwa, stolarstwa, sztuki medycznej czy inżynierskiej.

Co należy zrobić, by nauczyć się jakiejś sztuki?

Proces nauki można z łatwością podzielić na dwa etapy: pierwszy - opanowanie teorii; drugi - opanowanie praktyki. Jeśli chcę się nauczyć sztuki medycznej, muszę najpierw poznać wszystkie fakty dotyczące ludzkiego ciała i rozmaitych chorób. Ale jeśli nawet opanowałem już tę teoretyczną wiedzę, to w żadnym wypadku nie opanowałem jeszcze sztuki medycznej. Stanę się mistrzem w tej dziedzinie dopiero po długiej praktyce, dopiero w chwili, kiedy w końcu rezultaty mojej teoretycznej wiedzy oraz praktyki zespółą się w jedną całość - zrodzą intuicje, istotę opanowania każdej sztuki. Ale obok poznania teorii i praktyki istnieje jeszcze trzeci niezbędny czynnik, aby się stać mistrzem w jakiegokolwiek dziedzinie - opanowanie sztuki musi być sprawą maksymalnego zainteresowania; nie może być nic ważniejszego na świecie od danej sztuki. Prawda ta odnosi się do muzyki, medycyny, stolarstwa - i do miłości. I tu może właśnie leży odpowiedź na pytanie, dlaczego ludzie naszej kultury tak rzadko próbują uczyć się tej sztuki mimo tak oczywistych niepowodzeń na tym polu; chociaż pragnienie miłości tkwi w ludziach tak głęboko, niemal wszystko inne uważa się za ważniejsze niż miłość: powodzenie, prestiż, pieniądze, władzę. Niema) całą naszą energię zużywamy na to. aby się nauczyć osiągać te cele, natomiast prawie nic nie robimy, aby nauczyć się sztuki miłości.

A może ludzie uważają, że warto jest uczyć się tylko tych rzeczy, za których pomocą można zdobyć pieniądze czy prestiż, i że miłość, która przynosi korzyści „jedynie” duszy, lecz jest bezużyteczna w nowoczesnym rozumieniu, jest luksusem, na który nie mamy prawa poświęcać dużo energii? Jakkolwiek ta sprawa wygląda, w dalszych rozważaniach będę traktował sztukę miłości w duchu uprzedniego podziału: najpierw omówię teorię miłości - i to obejmie większą część książki; następnie zajmę się praktyką miłości - będzie tego niewiele, tyle, ile można powiedzieć o praktyce w tej czy jakiegokolwiek innej dziedzinie.

II. Teoria miłości

Miłość jako rozwiązanie problemu ludzkiego istnienia

Każda teoria miłości musi się *zaczynać* od teorii człowieka, ludzkiego istnienia. Chociaż spotykamy się z miłością, a raczej jej odpowiednikiem u zwierząt, ich przywiązanie jest w głównej mierze wynikiem zespołu instynktów; u człowieka działają jedynie resztki tego zespołu. Podstawową *rzeczą* w istnieniu człowieka jest fakt, że wynurzył się on z królestwa zwierząt, ze sfery instynktownego przystosowywania się, że ma transcendentną naturę; człowiek nigdy jej nie opuścił, jest jej częścią -a jednak, raz od niej oderwany, nie może powrócić, wygnany z raju, ze stanu pierwotnej jedności z naturą. Cherubini z gorejącymi mieczami zagrodzą mu drogę, gdyby próbował powrotu. Człowiek może posuwać się naprzód jedynie rozwijając swój rozum, znajdując nową harmonię, ludzką zamiast przedludzkiej, która została bezpowrotnie utracona.

Kiedy rodzi się człowiek - zarówno rodzaj ludzki, jak pojedynczy osobnik - zostaje on wytracony z sytuacji dokładnie określonej, równie określonej jak instynkty, i wepchnięty w sytuację, która jest nieokreślona, niepewna i otwarta. Pewność istnieje jedynie w stosunku do przeszłości, natomiast jeśli chodzi o przyszłość, to pewna jest tylko śmierć.

Człowiek jest obdarzony rozumem; jest b y t e m o b d a r z o n y m s a m o ś w i a d o m o ś c i ą , uświadamia sobie siebie, swego bliźniego, swoją przeszłość oraz możliwość swojej przyszłości. Ta świadomość samego siebie jako odrębnej jednostki, świadomość krótkotrwałości życia, faktu, że człowiek rodzi się niezależnie od swej woli i że umiera wbrew tej woli, że umrze przed tymi, których kocha, albo że oni umrą przed nim, świadomość swojej samotności i wyodrębnienia, swojej bezbronności wobec sił przyrody i społeczeństwa - wszystko to czyni jego odosobnionym, z niczym nie związane istnienie więzieniem nie do zniesienia. Człowiek postradałby zmysły, gdyby nie mógł się uwolnić z tego więzienia, wyjść z niego, zjednoczyć się, w tej czy innej formie z ludźmi, z zewnętrznym światem.

Poczucie osamotnienia wywołuje niepokój; stanowi ono w istocie źródło wszelkiego niepokoju. Jestem osamotniony znaczy, że jestem odcięty, że nie mogę wykorzystać moich ludzkich możliwości. Być samotnym to znaczy być bezradnym, nie móc czynnie zmierzyć się ze światem — rzeczami, ludźmi; to znaczy, że świat może mnie zaatakować, podczas gdy ja nie mogę się bronić. Tak oto samotność staje się źródłem intensywnego niepokoju. Rodzi ona nadto uczucie wstydu i winy. I właśnie to poczucie wstydu i winy wyrażone zostało w biblijnej historii Adama i Ewy. Gdy Adam i Ewa zjedli z „drzewa wiadomości dobrego i złego", gdy okazali się nieposłuszni (nie ma dobra i zła, jeśli nie ma możliwości

nieposłuszeństwa) - stali się ludźmi; wyzwoliwszy się z pierwotnej zwierzęcej harmonii z naturą spostrzegli, że „byli nadzy” i zawstydzili się. Czyż mamy przyjąć, że mit tak stary i podstawowy jak ten wyraża pruderyjną moralność dziewiętnastowiecznego spojrzenia na świat i że najważniejszą *rzecz*, jaką ta opowieść chce nam przekazać, jest zakłopotanie pierwszych rodziców widokiem genitaliów? Przecież chyba nie w tym *rzecz*, a gdybyśmy chcieli rozumieć tę opowieść w duchu wiktoriańskim, pominęlibyśmy sprawę zasadniczą, która, jak się wydaje, przedstawia się następująco: kiedy mężczyzna i kobieta uświadomili sobie swoje własne i wzajemne istnienie, zdali sobie zarazem sprawę ze swego odosobnienia oraz z tego, że się od siebie różnią, ponieważ należą do odmiennych płci. I mając świadomość swojego odosobnienia pozostali sobie obcy, jako że nie nauczyli się jeszcze kochać wzajemnie (na co wyraźnie wskazuje również fakt, że Adam broni się zrzucając winę na Ewę, zamiast stanąć w jej obronie). Ś w i a d o m o ś ć l u d z k i e g o o s a m o t n i e n i a b e z p o n o w n e g o p o ł ą c z e n i a s i ę p r z e z m i ł o ś ć j e s t ź r ó d ł e m w s t y d u . J e s t z a r a z e m ź r ó d ł e m p o c z u c i a w i n y i n i e p o k o j u .

Tak więc najgłębszą potrzebą człowieka jest przezwyciężenie swego ^odosobnienia, opuszczenie więzienia samotności. C a ł k o w i t e niepowodzenie w osiągnięciu tego celu prowadzi do błędu, jako że paniczny lęk przed zupełną izolacją można przezwyciężyć jedynie *przez* radykalne wycofanie się ze świata zewnętrznego, aż znika uczucie osamotnienia — ponieważ świat zewnętrzny, z którego człowiek się wyobcował, przestaje istnieć. Człowiek wszystkich czasów i kultur staje wobec jednego i tego samego pytania: jak przezwyciężyć samotność, jak uzyskać poczucie jedności, jak przekroczyć granicę własnego osobistego życia i znaleźć zadośćuczynienie? Takie samo pytanie stawia sobie człowiek jaskiniowy, koczownik pasący swe stada, egipski rolnik, fenicki kupiec, rzymski żołnierz, średniowieczny mnich, japoński samuraj i dzisiejszy urzędnik bądź robotnik fabryczny. Pytanie jest to samo, jako że wypływa z tego samego źródła: z sytuacji człowieka, z warunków ludzkiego istnienia. Odpowiedzi mogą być różne. Można odpowiadać oddając cześć zwierzętom, składając ofiary z ludzi lub dokonując militarnych podbojów, nurzając się w zbytku, uprawiając ascezę, oddając się z zapamiętaniem pracy lub artystycznej twórczości, wreszcie pielęgnując w sobie miłość Boga i miłość człowieka. Chociaż istnieje tyle tych rozwiązań, których zapis tworzy historię człowieka - niemniej jednak liczba ich nie jest niezliczona. Wprost przeciwnie, jeżeli pominąć drobniejsze różnice dotyczące raczej drugorzędnych szczegółów niż sedna sprawy, dochodzi się do wniosku, że istnieje tylko określona liczba odpowiedzi, jakie zostały już udzielone i mogły być udzielone przez

człowieka różnych kultur, w których żył. Historia religii i filozofii stanowi właśnie dzieje tych odpowiedzi, ich różnorodności, jak również ich ilościowego ograniczenia.

Odpowiedzi te zależą w pewnej mierze od stopnia indywidualizacji osiągniętego przez daną jednostkę. U niemowlęcia osobowość rozwinięta jest w bardzo nikłym stopniu; wciąż czuje się ono jednością z matką, nie czuje się samo, dopóki matka jest przy nim. Przed uczuciem samotności chroni je jej fizyczna obecność, jej piersi i ciało. Dopiero w miarę jak u dziecka *zaczyna* wzrastać poczucie odrębności i indywidualności, przestaje mu wystarczać fizyczna obecność matki, *zaczyna* narastać potrzeba przezwyciężenia osamotnienia w inny sposób.

Podobnie cały rodzaj ludzki w okresie swego niemowlęctwa ma poczucie zespolenia z naturą. Ziemia, zwierzęta, rośliny - wciąż są światem człowieka. Utożsamia się on ze zwierzętami, co wyraża się noszeniem masek zwierzęcych, oddawaniem czci zwierzęcym totemom lub też zwierzętom-bogom. Ale w miarę jak rodzaj ludzki uwalnia się z tych pierwotnych więzów, coraz bardziej oddala się od naturalnego świata, coraz mocniejsza staje się potrzeba znalezienia nowych dróg ucieczki przed osamotnieniem.

Jedną z metod prowadzących do tego celu jest dążenie do osiągnięcia różnych stanów orgiastycznych. Mogą mieć one formę wywołanego przez samego człowieka transu, czasem osiąga się je przy pomocy narkotyków.

Wiele obrzędów szczepów pierwotnych stanowi żywy obraz rozwiązań tego rodzaju. W krótkotrwałym stanie egzaltacji świat zewnętrzny znika, a wraz z nim znika poczucie własnej odrębności. Ponieważ obrzędy te praktykowane są wspólnie, dochodzi do tego jeszcze świadomość stopienia się z grupą, co czyni dane rozwiązanie jeszcze bardziej skutecznym. Blisko z nimi spokrewnione i często towarzyszące tym stanom orgiastycznym są doznania seksualne. Orgazm seksualny może wytworzyć stan podobny do transu albo do działania pewnych narkotyków. Obrzędy polegające na wspólnym uprawianiu orgii seksualnych stanowiły jeden z elementów wielu pierwotnych obrzędów. Wydaje się, że po przeżyciu orgiastycznym człowiek może żyć przez pewien czas i nie cierpieć zbytnio z powodu swego osamotnienia. Później natężenie niepokoju narasta powoli, po czym, po ponownym powtórzeniu obrzędu, znowu opada.

Póki owe stany orgiastyczne są praktykowane wspólnie przez szczep, nie wywołują niepokoju czy poczucia winy. Postępowanie takie uznane jest za rzecz słuszną, a nawet cnotliwą, jako że uczestniczą w nim wszyscy, a czarownicy czy kapłani nawet tego wymagają; dlatego też nie ma powodu do poczucia winy lub wstydu. Rzecz *zaczyna* wyglądać zgoła inaczej, kiedy na tego rodzaju rozwiązanie decyduje się człowiek *żyjący* w kulturze, która

przestała już stosować te wspólne praktyki. Alkoholizm czy narkomania to formy, jakie wybiera jednostka żyjąca w kulturze nieorgiastycznej. W przeciwieństwie do osób biorących udział w praktykach uznawanych i stosowanych *przez* społeczeństwo jednostki takie odczuwają winę i wyrzuty sumienia. Szukają ucieczki przed osamotnieniem w alkoholizmie czy narkotykach, ale tym bardziej czują się samotne po zakończeniu orgiastycznego doznania, po czym pojawia się potrzeba .powtarzania go z coraz większą częstotliwością i siłą. Jedynie nieznacznie różni się od tego uciekanie się do orgiastycznych doznań seksualnych. W pewnym sensie jest to naturalna i normalna forma przezwycięzania poczucia samotności i stanowi częściowe rozwiązanie problemu izolacji. Jednakże u wielu osobników, którzy nie mogą osiągnąć w inny sposób ulgi w cierpieniu osamotnienia, dążenie do seksualnego orgazmu pełni funkcję nie różniącą się wiele od ucieczki w alkoholizm czy narkomanię. Staje się ono desperacką próbą ratunku przed niepokojem zrodzonym z osamotnienia, co w rezultacie prowadzi do coraz bardziej zwiększającego się uczucia izolacji, jako że akt seksualny, w którymjwaki_uczucia,_ nie może przerzucić mostu nad przepaścią dzielącą dwoje ludzi, chyba tylko na bardzo krótki okres czasu.

Wszystkie formy orgiastycznego zespolenia mają trzy cechy charakterystyczne: są silne. a nawet gwałtowne;ipbejmują całą osobowość, zarówno psychikę, jak i ciało są przemijające i okresowe. Coś wręcz przeciwnego można powiedzieć o tej formie zespolenia, która jest o wiele częstszym rozwiązaniem wybieranym przez człowieka w przeszłości i obecnie: jest to zespolenie oparte na dostosowaniu się do grupy, do jej zwyczajów, praktyk i wierzeń. I tu znowu widzimy znaczny postęp.

W społeczeństwie pierwotnym grupa jest nieliczna; składa się z jednostek związanych wspólnotą krwi i ziemi. W miarę rozwoju kultury grupa powiększa się; staje się zbiorowiskiem obywateli *polis*, zbiorowiskiem obywateli wielkiego państwa, członków Kościoła. Nawet ubogi Rzymianin odczuwał dumę, ponieważ mógł powiedzieć: „*Civis romanus sum.*” Rzym i imperium były jego rodziną, jego domem, jego światem. Również i w dzisiejszym społeczeństwie zachodnim zespolenie z grupą jest dominującym sposobem przezwycięzania osamotnienia. Dzięki zespoleniu w znacznym stopniu znika własna osobowość i to właśnie jest celem przynależności do stada. Jeżeli jestem taki sam jak wszyscy, jeżeli czuję i myślę w sposób nie różniący mnie od innych, jeżeli dostosowuję się do zwyczajów, ubioru i poglądów, do wzorca obowiązującego w grupie-jestem uratowany; uratowany od przerażającego uczucia osamotnienia. Ustroje dyktatorskie zmuszają do konformizmu groźbą i terrorem; kraje demokratyczne - perswazją i propagandą. Między tymi

dwoma systemami istotnie widać wielką różnicę. W demokracji niedostosowywanie się jest możliwe i rzeczywiście się zdarza; w systemach totalitarnych natomiast można przyjąć, że jedynie kilku niezwykle bohaterów i męczenników odmówi posłuszeństwa. A jednak mimo tej różnicy społeczeństwa demokratyczne wykazują ogromny stopień ujednolicenia. Przyczyny tego szukać należy w fakcie, że potrzeba zespolenia musi być zaspokojona, a jeśli nie ma innego lub lepszego sposobu, wówczas zaczyna dominować dążność dostosowania się do stada, do zjednoczenia z nim. Siłę lęku, aby nie okazać się innym, aby nie oddalić się choćby na kilka kroków od stada, można zrozumieć jedynie wówczas, gdy pojmie się, jak głęboka jest potrzeba współuczestnictwa. Niekiedy ten lęk przed niedostosowaniem się można tłumaczyć jako lęk przed praktycznymi niebezpieczeństwami, które by mogły grozić takiemu nonkonformiście. W rzeczywistości jednak ludzie znacznie bardziej chcą się dostosowywać, niż są do tego zmuszani...

Wielu ludzi nawet nie zdaje sobie sprawy ze swej potrzeby przystosowania. Żyją pełni złudzeń, że postępują zgodnie ze swoimi przekonaniem i skłonnościami, że są indywidualistami, że dochodzą do swoich poglądów drogą własnego rozumowania, że jedynie dzięki przypadkowi ich koncepcje pokrywają się z koncepcjami większości. Powszechna zgoda służy im za dowód, że te przekonania są słuszne. Ponieważ wciąż jeszcze istnieje potrzeba odczuwania pewnej indywidualności, zostaje ona zaspokojona na polu mało istotnych różnic; inicjały na torebce czy swetrze, wywieszka z nazwiskiem kasjera bankowego, przynależność do partii demokratycznej zamiast do partii republikańskiej, do takiego, a nie innego klubu - stają się wyrazem indywidualnych odrębności. Reklamowy slogan: „to jest inne” - wyraźnie wskazuje na tę wzruszającą potrzebę odróżniania się, podczas gdy w rzeczywistości już prawie nic z niego nie pozostało.

Ta wzrastająca tendencja do wyeliminowania różnic wiąże się ściśle z pojęciem i poczuciem równości, jakie wzmaga się w najbardziej rozwiniętych społeczeństwach przemysłowych. Równość w religijnym kontekście oznaczała, że wszyscy jesteśmy dziećmi Boga, że wszyscy posiadamy ten sam ludzko-boski pierwiastek, że wszyscy stanowimy jedność. Znaczyła ona również, że należy szanować właśnie różnice pomiędzy ludźmi, że aczkolwiek jest prawdą, że wszyscy stanowimy jedno, jest również prawdą, że każdy z nas jest niepowtarzalnym istnieniem, jest wszechświatem sam w sobie. To przekonanie o wyjątkowości jednostki wyrażone jest na przykład w stwierdzeniu Talmudu: „Kto ocali jedno życie, postępuje tak, jakby uratował cały świat; kto unicestwi jedno życie, czyni tak, jakby unicestwił cały świat”.

Filozofia Oświecenia również stała na stanowisku, że równość jest koniecznym warunkiem rozwoju indywidualności. Oznacza to (najjaśniej sformułował to Kant), iż żaden

człowiek nie może być środkiem do osiągnięcia celów innego człowieka, a także, że wszyscy ludzie są równi, ponieważ są dla siebie celami i jedynie celami. Kierując się ideami Oświecenia myśliciele socjalistyczni różnych szkół określali równość człowieka jako zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka, niezależnie od tego, czy wyzysk ten jest okrutny, czy też „ludzki”.

We współczesnym społeczeństwie kapitalistycznym znaczenie równości uległo przekształceniu. Przez równość rozumie się dzisiaj równość automatów, ludzi, którzy utracili swoją indywidualność. Równość oznacza dzisiaj raczej „identyczność” niż „jedność”. Jest to identyczność abstrakcji, identyczność ludzi wykonujących tę samą pracę, ludzi, którzy mają te same rozrywki, czytają te same gazety, mają te same uczucia i te same idee. Z tego względu również trzeba patrzeć z pewnym sceptycyzmem na niektóre osiągnięcia, wychwalane zazwyczaj jako oznaki naszego postępu, na przykład na kwestię równouprawnienia kobiet. Nie muszę chyba zaznaczać, że nie występuję przeciwko równouprawnieniu kobiet, lecz pozytywne aspekty tego dążenia do równości nie powinny nikogo wprowadzać w błąd. Jest to jeden z elementów dążenia do zatarcia wszelkich różnic. Równość kupuje się za tę właśnie cenę: kobiety posiadają równouprawnienie, ponieważ przestały się różnić od mężczyzn. Twierdzenie filozofii Oświecenia: „*l'ame n'a pas de sexe*”, dusza nie posiada płci, zostało ogólnie przyjęte. Biegunowa różnica pici znika, a wraz z nią znika miłość erotyczna oparta na tej właśnie różnicy. Mężczyźni i kobiety stają się t a c y s a m i , a nie r ó w n i , jak przeciwnie bieguny. Współczesne społeczeństwo głosi ten ideał niezindywidualizowanej równości, ponieważ potrzebuje ludzkich atomów, z których każdy będzie taki sam, aby działały w masowych zbiorowiskach sprawnie, bez tarć; aby wszyscy słuchali tych samych rozkazów, a jednak aby każdy był przekonany, że postępuje zgodnie ze swoimi własnymi pragnieniami. Podobnie jak nowoczesna produkcja masowa wymaga standaryzacji wyrobów, tak samo proces zachodzący w społeczeństwie wymaga standaryzacji człowieka i tę właśnie standaryzację nazwano „równością”.

Zespolenie przez dostosowanie się nie ma ani intensywnego, ani gwałtownego charakteru; jest łagodne, dyktowane rutyną i właśnie z tego powodu często nie wystarcza, aby uśmierzyć niepokój wyobcowania. Przypadki alkoholizmu, narkomanii, erotomanii oraz samobójstw są we współczesnym zachodnim społeczeństwie symptomami pewnej porażki w wysiłkach przystosowania się do stada. Co więcej, wyjście to dotyczy głównie sfery umysłu, a nie ciała, i również z tego powodu nie można go porównać do rozwiązań orgiastycznych. Przystosowanie się do stada posiada tylko jedną wyższość: ma charakter stały, a nie dorywczy. Jednostka wdraża się w stosowanie pewnych wzorców postępowania od trzeciego lub czwartego roku życia, po czym nigdy już nie traci kontaktu ze stadem. Nawet pogrzeb, na

który już zawczasu patrzy jako na swoje ostatnie wielkie wystąpienie towarzyskie, odbywa się według ściśle ustalonego rytuału. i Poza przystosowaniem się jako próbą uwolnienia się od niepokoju wywołanego uczuciem wyobcowania należy rozważyć również i inny czynnik współczesnego życia: rolę rutyny pracy i rutyny rozrywki. Człowiek staje się „ośmiogodzinowcem”, jest częścią siły roboczej lub zbiurokratyzowanej armii urzędników czy kierowników. Ma minimum inicjatywy, wykonywaną przez niego czynność wyznaczają zasady organizacji pracy; nie ma nawet wielkiej różnicy między tymi, co na górze, a tymi, co są na samym dole hierarchicznej drabiny. Wszyscy wykonują czynności przewidziane przez strukturę organizacji, w przepisany tempie i w przepisany sposób. Nawet uczucia są ustalone: wyrozumiałość, pogoda, solidność, ambicja i zdolność gładkiego współżycia z otoczeniem. Rozrywka jest również zrutynizowana w podobny, chociaż nie aż tak drastyczny sposób. Książki wybierane są przez kluby książek, widowiska przez właścicieli kin i teatrów, którzy płacą za slogany reklamowe; cała reszta jest również ujednolicona: niedzielna wycieczka samochodem, zebrania przy telewizorze, partia kart, przyjęcia towarzyskie. Od urodzenia się do śmierci, od poniedziałku do poniedziałku, od rana do wieczora - wszystkie czynności są zrutynizowane, prefabrykowane. I jak człowiek schwyty w sieć tej rutyny może nie zapomnieć, że jest człowiekiem, niepowtarzalną indywidualnością, kimś, kto otrzymał tylko jedną szansę życia ze wszystkimi nadziejami i rozczarowaniami, ze smutkiem i lękiem, z tęsknotą za miłością i strachem przed nicością i samotnością?

Trzecim sposobem osiągnięcia zespolenia jest d z i a ł a l n o ś ć t w ó r c z a , działalność wybitnego artysty czy rzemieślnika. W każdej twórczej pracy człowiek tworzący zespala się ze swoim tworzywem reprezentującym zewnętrzny, istniejący poza nim świat. Czy stolarz robi stół, czy złotnik klejnot, czy rolnik uprawia zboże, czy malarz maluje obraz - we wszystkich typach pracy twórczej pracujący i przedmiot jego pracy stają się jednym, człowiek zespala się ze światem w procesie tworzenia. Jednakże odnosi się to jedynie do pracy twórczej, do pracy, którą j a s a m planuję, wykonuję, oglądam jej rezultaty. W dzisiejszej pracy urzędnika czy robotnika stojącego przy nie mającej końca taśmie bardzo niewiele pozostało z tej „zespalającej” właściwości pracy. Robotnik staje się dodatkiem do maszyny lub do biurokratycznej organizacji. Przestał być sobą - nie ma więc mowy o żadnym zespoleniu, jest tylko podporządkowanie się jednostki.

Zespolenie osiągnięte w twórczej pracy nie zespala ludzi; zespolenie osiągnięte w stanach orgiastycznych jest przejściowe; zespolenie przez przystosowanie się jest jedynie pseudozespoleniem. A zatem wszystkie te rozwiązania są jedynie częściowym rozwiązaniem

problemu istnienia. Pełne rozwiązanie leży w osiągnięciu międzyludzkiego zespolenia, w zjednoczeniu się z innym człowiekiem w miłości.

Pragnienie zjednoczenia się z drugim człowiekiem jest najpotężniejszym dążeniem ludzi. Jest ono najbardziej podstawową namiętnością, jest siłą cementującą cały rodzaj ludzki, klan, rodzinę, społeczeństwo. Męska na tym polu oznacza obłąd lub zagładę - zagładę samego siebie lub zagładę innych. Bez miłości ludzkość nie mogłaby istnieć ani jednego dnia. A jednak jeżeli nazywamy zjednoczenie się ludzi „miłością”, natychmiast znajdujemy się w poważnym kłopotcie. Zjednoczenie można osiągać różnymi drogami - to, co różne, nie jest ani trochę mniej ważne od tego, co jest wspólne dla różnych form miłości. Czy wszystkie można nazywać „miłością”? Czy może powinniśmy zastrzec prawo do używania słowa „miłość” jedynie na określenie szczególnego rodzaju zjednoczenia - tego, które było doskonałą cnotą we wszystkich wielkich humanistycznych religiach i systemach filozoficznych w ciągu ostatnich czterech tysięcy lat wschodniej i zachodniej historii?

Jak przy wszystkich trudnościach semantycznych, tak i tu odpowiedź może być jedynie arbitralna. Ważne, że wiemy, o jakiego rodzaju zjednoczeniu mówimy mając na myśli miłość. Czy mamy na myśli miłość jako dokładnie przemyślane rozwiązanie problemu istnienia, czy też mówimy o tych niedoskonałych formach miłości, które można określić jako z j e d n o c z e n i e s y m b i o t y c z n e ? Na następnych stronach będę nazywał miłością tylko tę pierwszą formę, natomiast rozpatrywanie „miłości” zacznę od drugiej.

Z j e d n o c z e n i e s y m b i o t y c z n e znajduje swój biologiczny model w stosunku zachodzącym pomiędzy ciężarną kobietą a jej płodem. Stanowią dwie istoty, a jednak są jednym. Żyją razem (*symbiosis*), potrzebują się nawzajem. Płód jest częścią matki, otrzymuje od niej wszystko, czego potrzebuje; matka jest jak gdyby jego światem: żywi go, ochrania, ale również jej własne życie bije żywszym tętnem. W p s y c h i c z n y m zjednoczeniu symbiotycznym dwa ciała są od siebie niezależne, jednakże na płaszczyźnie psychologicznej również istnieje taki właśnie rodzaj więzi.

B i e r n a forma zjednoczenia symbiotycznego polega na podporządkowaniu się albo, używając terminu klinicznego, na m a s o c h i z m i e. Masochista ucieka przed nie dającym się znieść uczuciem wyobcowania i izolacji, czyniąc z siebie nierozdzieloną część składową Drugiego człowieka, który rozkazuje mu, kieruje nim, ochrania, który jest jego życiem, jego - by tak rzec - tlenem. Wyolbrzymia on siłę, której się oddaje, czy to będzie człowiek, czy Bóg; oni są dla niego wszystkim, on zaś jest niczym, istnieje o tyle, o ile stanowi ich część. Jako ta część staje się częścią wielkości, potęgi, pewności. Masochista nie musi podejmować

żadnych decyzji, nie musi brać na siebie żadnego ryzyka; nigdy nie jest sam - ale nie jest również niezależny, nie ma integralności, jeszcze się w pełni nie narodził. W religijnym kontekście przedmiot uwielbienia określa się jako bożyszcze; w kontekście świeckim podstawowy mechanizm stosunku w miłości masochistycznej, mechanizm bałwochwalstwa, jest identyczny. Stosunek masochistyczny może się łączyć z fizycznym pożądaniem; w tym wypadku jest on podporządkowaniem się nie tylko umysłu, lecz i ciała. Można w sposób masochistyczny podporządkować się losowi, chorobie, rytmicznej muzyce, stanowi orgiastycznemu pod wpływem narkotyku czy w transie hipnotycznym- We wszystkich tych wypadkach człowiek wyrzeka się swojej integralności, staje się narzędziem kogoś lub czegoś, co istnieje poza nim; nie_ musi rozwiązywać problemu bytowania przez produktywną działalność.

C z y n n q formą symbiotycznego zjednoczenia jest panowanie albo - używając terminu psychologicznego odpowiadającego masochizmowi - *s a d y z m*. Sadysta chce uciec od swojej samotności i uczucia uwięzienia czyniąc z drugiego człowieka nieodłączną część samego siebie. Wchłonawszy w siebie drugiego człowieka, który go uwielbia, wyolbrzymia sam siebie i podnosi własną wartość.

Sadysta jest w równej mierze zależny od podporządkowanej sobie osoby jak ta od niego; żadna z tych osób nie może żyć bez drugiej. Różnica polega jedynie na tym, że sadysta rozkazuje, wyzyskuje, zadaje cierpienia, upokarza, a masochista pozwala sobą komenderować, jest wyzyskiwany, doznaje cierpień, poniżeń. W realistycznym sensie jest to różnica bardzo istotna; jednakże w sensie głębszym, emocjonalnym, nie jest ona tak wielka jak to, co łączy obie te postawy: zjednoczenie bez integralności. Jeżeli się to rozumie, nie zadziwi odkrycie, że na ogół jeden człowiek może się zachowywać i jak sadysta, i jak masochista, zazwyczaj jednak wobec różnych obiektów. Hitler zachowywał się jak sadysta wobec ludzi, natomiast był masochistą wobec losu, historii, „siły wyższej” natury. Jego koniec - samobójstwo, któremu towarzyszyła zagłada całego imperium - jest równie charakterystyczne jak jego marzenie o zwycięstwie - totalnym panowaniu.¹

W przeciwieństwie do zjednoczenia symbiotycznego dojrzała miłość jest zjednoczeniem uwarunkowanym zachowaniem integralności człowieka, jego indywidualności. Miłość jest aktywną siłą w człowieku, siłą, która przebija się przez mury oddzielające człowieka od jego bliźnich, siłą jednoczącą go z innymi; dzięki miłości człowiek przewyższa uczucie izolacji i osamotnienia pozostając przy tym sobą, zachowując

swą integralność. W miłości urzeczywistnia się paradoks, że dwie istoty stają się jedną, pozostając mimo to dwiema istotami.

Jeżeli mówimy, że miłość jest działaniem, natykamy się na trudność polegającą na dwuznaczności słowa „działanie”. Przez „działanie” w dzisiejszym ujęciu tego słowa rozumiemy zazwyczaj czynność, która kosztem pewnego nakładu energii powoduje jakąś zmianę w istniejącej sytuacji. Uważamy więc, że człowiek jest aktywny, jeżeli prowadzi interesy, studiuje medycynę, pracuje przy taśmie automatycznej, robi stół lub uprawia sporty. Wspólną cechą tych wszystkich czynności jest to, że skierowane są one na osiągnięcie jakiegoś zewnętrznego celu. Nie bierze się natomiast pod uwagę m o t y w a c j i tej działalności. Weźmy na przykład człowieka, którego do nieustannej pracy popycha uczucie głębokiej niepewności i osamotnienia, lub kogoś, kim powoduje ambicja czy żądza pieniędzy. W obu tych wypadkach człowiek jest niewolnikiem namiętności, a jego działalność jest w rzeczywistości „biernością”, gdyż jest on popędzany; jest ofiarą, a nie „sprawcą”. Z drugiej strony człowiek, który siedzi spokojnie i rozmyśla, nie mając w tym żadnego innego celu poza zgłębieniem samego siebie i swojej jedności ze światem, uważany jest za człowieka „biernego”, ponieważ nie „robi” nic. A w istocie to oddawanie się skoncentrowanej medytacji jest najwyższą formą aktywności, jaka istnieje, jest działaniem duszy, możliwym jedynie pod warunkiem istnienia wewnętrznej wolności i niezależności. Jedno z pojęć działania, pojęcie dzisiejsze, definiuje je jako użycie energii dla osiągnięcia zewnętrznych celów; inne mówi o użyciu wrodzonych sił człowieka, niezależnie od tego, czy pociąga to za sobą jakąkolwiek zmianę w świecie zewnętrznym. Tę ostatnią koncepcję działania najwyraźniej sformułował Spinoza.²

Wśród uczuć rozróżnia on uczucia czynne i bierne, „działania” i „namiętności”. Przy uczuciach czynnych człowiek jest wolny, jest panem swego działania; natomiast przy biernych człowiek jest kierowany, jest przedmiotem działających nań motywów, z których nie zdaje sobie sprawy. Tak więc Spinoza dochodzi do stwierdzenia, że cnota i siła są tym samym. Zawiść, zazdrość, ambicja, wszelkie formy pożądania - są namiętnościami; miłość jest działaniem, zastosowaniem ludzkiej siły, mogącym się przejawiać jedynie w warunkach wolności, nigdy zaś w wyniku przymusu.

Miłość to działanie, a nie bierne doznawanie. Czynny charakter miłości można najogólniej określić zdaniem, że kochać to przede wszystkim d a w a ć, a nie brać.

Co to znaczy dawać? Chociaż odpowiedź na to wydaje się zupełnie prosta, w istocie jednak jest ogromnie niejasna i zawiła. Najbardziej rozpowszechnionym nieporozumieniem jest przypuszczenie, że dawać znaczy „wyrzekać się”, że człowiek się czegoś pozbawia lub że

się poświęca. W ten sposób odczuwa akt dawania człowiek, który w swoim rozwoju nie wznosił się ponad stan zainteresowania otrzymywaniem, wyzyskiwaniem i gromadzeniem. Człowiek o nastawieniu komercyjnym chce dawać, ale jedynie wówczas, kiedy otrzymuje coś w zamian; dawanie bez otrzymywania jest dla niego oszustwem.³ Ludzie o nieproduktywnym nastawieniu odczuwają dawanie jako zubożenie. Dlatego też większość osób tego rodzaju dawać nie chce. Niektórzy czynią z dawania cnotę, traktując to jako czynienie ofiary. Uważają, że należy dawać właśnie dlatego, iż jest to przykre; pozytywna wartość dawania leży dla nich w samym akcie zgody na poniesienie ofiary. Dla ludzi tych zasada, że lepiej jest dawać niż brać, oznacza, że lepiej cierpieć z powodu utraty niż doznawać radości.

Dla osób produktywnych dawanie posiada zupełnie inne znaczenie. Dawanie jest najwyższym przejawem mocy. W samym akcie dawania doświadczam mojej siły, bogactwa, mojej potęgi. To doznanie wzmożonej żywotności i mocy napełnia mnie radością. Czuję w sobie nadmiar ekspansywności i życia, toteż przepelnia mnie radość.⁴ Dawanie jest bardziej radosne niż otrzymywanie nie dlatego, że jest utratą czegoś, lecz dlatego, że w akcie dawania przejawia się moja żywotność.

Nietrudno uznać słuszność tej zasady, stosując ją do różnych specyficznych zjawisk. Najbardziej elementarny przykład można *znaleźć* w dziedzinie seksu. Punkt kulminacyjny aktu płciowego u mężczyzny polega na dawaniu; mężczyzna daje kobiecie siebie, swój organ płciowy. W momencie orgazmu daje jej swoje nasienie. Nie może go nie dawać, jeśli posiada zdolność płciową. Jeżeli nie może go dać, jest impotentem. U kobiety proces ten jest podobny, chociaż nieco bardziej złożony. I ona daje siebie, otwiera wrota do centrum swojej kobiecości, otrzymując - sama daje. Jeśli nie jest zdolna do tego, by dawać, jeżeli potrafi jedynie brać, jest kobietą zimną. U kobiety akt dawania pojawia się po raz wtóry, kiedy występuje już nie w roli kochanki, ale jako matka. Bez reszty oddaje się rozwijającemu się w niej dziecku, daje niemowlęciu swe ciało, ogrzewa je jego ciepłem. Gdyby tego nie robiła, odczuwałaby ból.

W sferze materialnej „dawać” *znaczy* być bogatym. Nie jest bogaty ten, kto dużo ma, lecz ten, kto dużo daje. Ten, kto jedynie gromadzi, kto zamartwia się z powodu jakiejś straty, jest w sferze psychologicznej biednym, zubożałym człowiekiem, niezależnie od tego, ile posiada. Ktokolwiek potrafi dawać z siebie, jest bogaty. Czuje się jak ktoś, kto może przekazywać coś z siebie innym. Jedynie ten, kto jest pozbawiony rzeczy najniezbędniejszych do utrzymania się przy życiu, tylko taki człowiek, byłby niezdolny do odczuwania radości dawania rzeczy materialnych. Ale codzienne doświadczenie wykazuje, że to, co dany człowiek uważa za minimum konieczności, zależy w równej mierze od jego charakteru, jak i od tego, co w

danej chwili posiada. Powszechnie wiadomo, że ludzie biedni dają o wiele chętniej niż bogaci. Niemniej zdarza się takie ubóstwo, które nic już nie ma do zaofiarowania, i wtedy jest tak poniżające nie tylko z powodu cierpienia, jakie bezpośrednio powoduje, ale również dlatego, że pozbawia radości dawania.

Jednakże najważniejszą dziedziną, w której człowiek może coś dać człowiekowi, nie jest sfera rzeczy materialnych, lecz ściśle ludzkich. Co daje jeden człowiek drugiemu? Daje siebie, to, co jest w nim najcenniejsze, daje swoje życie. Nie musi to oczywiście oznaczać, że poświęca "swoje życie dla drugiego człowieka, lecz że daje mu to, co jest w nim żywe; daje swoją radość, swoje zainteresowanie, zrozumienie, swoją wiedzę, humor i swój smutek - wszystko, co jest w nim żywe i co się ujawnia i znajduje swój wyraz. W ten sposób, dając swoje życie, wzbogaca drugiego człowieka, wzmacnia poczucie jego istnienia, wzmagając zarazem poczucie własnego istnienia. Nie daje po to, aby otrzymać; dawanie samo w sobie jest doskonałą radością. Lecz dając nie może nie rodzić czegoś w drugim człowieku, a to, co zrodzone, otrzymuje w zamian od obdarzonego; dając szczerze, musi także odbierać. Dając sprawiamy, że drugi człowiek staje się również ofiarodawcą i że teraz wspólnie dzielimy radość z tego, co powstało. W akcie dawania coś się rodzi i obie zainteresowane strony odczuwają wdzięczność dla życia, które zrodziło się dla nich obojga. Dzieje się tak zwłaszcza w dziedzinie miłości, oznacza to bowiem, że miłość jest siłą, która tworzy miłość; brak tej siły oznacza niemożność obudzenia miłości. Pięknie wyraził tę myśl Marks: „Przy założeniu - mówił on - że człowiek jest c ł o w i e k i e m i jego stosunek do świata jest ludzki, miłość możesz wymieniać tylko na miłość, zaufanie tylko na zaufanie itd. Jeżeli chcesz rozkoszować się sztuką, musisz być człowiekiem wykształconym w dziedzinie sztuki; jeśli chcesz wywierać wpływ na innych ludzi, musisz być człowiekiem, który rzeczywiście inspiruje i wiedzie naprzód innych. Każdy twój kontakt z człowiekiem i przyrodą musi być określonym, odpowiadającym przedmiotowi twojej woli przejawem twego rzeczywistego, indywidualnego życia. Jeśli kochasz nie wzbudzając wzajemnej miłości, tzn. jeśli twoja miłość nie wytwarza wzajemnej miłości, jeśli poprzez swój przejaw życia człowieka kochającego nie czynisz siebie człowiekiem kochanym, to miłość twoja jest bezsilna, jest nieszczęściem" ,

Ale nie tylko w miłości dawać znaczy brać. Wykładowca uczy się od swoich uczniów, aktora pobudza do gry widownia, psychoanalityka leczy jego pacjent - z zastrzeżeniem, że nie traktują oni siebie nawzajem jako przedmioty, lecz mają do siebie stosunek szczerzy i produktywny. jako akt dawania zależy od rozwoju właściwości danego człowieka. Zakłada ona bowiem osiągnięcie wybitnie produktywnego postawy życiowej; człowiek o takim nastawieniu przewycięża zależność, wyzwala się z wszechmocy

narcyizmu, z chęci wyzysku, z żądzy gromadzenia dóbr, a nabiera wiary w swoje ludzkie siły i odwagi, aby polegać na własnych siłach. Im bardziej brak mu tych cech, tym bardziej lęka się dawania siebie - a tym samym miłości. _Czynny charakter miłości - poza elementem dawania - ujawnia się w tym, że zawsze występują w niej pewne podstawowe składniki wspólne dla wszystkich jej form. Są to: t r o s k a , p o c z u c i e o d p o w i e d z i a l n o ś c i , p o s z a n o w a n i e i p o z n a n i e .

To, że miłość oznacza t r o s k ę , najwyraźniej można zaobserwować w miłości matki do dziecka. Nie uwierzylibyśmy żadnym zapewnieniom o jej miłości, gdybyśmy widzieli, że nie troszczy się o niemowlę, gdyby go nie karmiła, nie kąpała, gdyby nie starała się zapewnić mu wszelkich wygod; natomiast kiedy widzimy, jak troszczy się o dziecko, wierzymy w jej miłość. To samo jest z miłością do zwierząt czy kwiatów. Gdyby jakaś kobieta powiedziała nam, że kocha kwiaty, a zobaczylibyśmy, że zapomina je podlewać, przestalibyśmy wierzyć w jej „miłość” do kwiatów. Miłość jest czynnym zainteresowaniem się życiem i rozwojem tego, co kochamy. Jeżeli nie ma tego czynnego zainteresowania, nie ma miłości. Właśnie ten element miłości został tak pięknie wyrażony w Księdze Jonasza. Bóg rozkazał Jonaszowi udać się do Niniwy ostrzec jej mieszkańców, że spotka ich kara, jeśli nie zaprzestaną żyć w grzechu. Jonasz uchyla się od złezonej mu misji, ponieważ lęka się, że mieszkańcy Niniwy okażą żal za grzechy i Bóg im wybaczy. Jest on człowiekiem obdarzonym silnym poczuciem ładu i prawa, ale nie ma w nim miłości. Jednakże próbując ucieczki dostaje się do brzucha wieloryba, symbolizującego stan izolacji i uwięzienia, jakie spowodowały na niego brak miłości i solidarności. Bóg ocala go i Jonasz udaje się do Niniwy. Zgodnie z boskimi rozkazami wygłasza do jej mieszkańców kazania i następuje to, czego najwięcej się obawiał. Mieszkańcy Niniwy żałują swych grzechów, zwracają ze złej drogi, a Bóg przebacza im i postanawia nie niszczyć miasta. Jonasz jest ogromnie zagniewany i zawiedziony; chciał wymiaru „sprawiedliwości”, a nie miłosierdzia. W końcu znajduje pewne ukojenie w cieniu drzewa, które wyrosło za sprawą Boga, by udzielić Jonaszowi osłony przed słońcem. Skoro jednak Bóg sprawia, że drzewo usycha, Jonasz jest przygnębiony i z gniewem uskarża się Bogu. Bóg odpowiada: „Ty żałujesz bluszczu, na którymś nie robił aniś uczynił, aby wzrósł, który za jedno noc urósł i za jedno noc zginął; a ja bym nie miał przepuścić Niniwie, miastu tak wielkiemu, w którym jest więcej niż sto i dwadzieścia tysięcy ludzi”.* Odpowiedź Boga daną Jonaszowi należy rozumieć symbolicznie. Bóg tłumaczy mu, że istotą miłości jest pracować dla czegoś i

sprawiać, by coś rośło; że miłość i praca to rzeczy nierozłączne. Kocha się to, dla czego się pracuje, i pracuje się dla tego, co się kocha.

Troska i zainteresowanie prowadzą do następnego aspektu miłości, do poczucia odpowiedzialności. Dzisiaj odpowiedzialność pojmuję się często jako wyznaczony obowiązek, jako coś narzuconego z zewnątrz, natomiast odpowiedzialność w swym prawdziwym znaczeniu jest aktem całkowicie dobrowolnym; jest moją potrzebą zaspokojenia wyrażonych lub nie wyrażonych potrzeb drugiej istoty ludzkiej. Być „odpowiedzialnym” *znaczy* być zdolnym i gotowym do „odpowiadania” na ten apel. Jonasz nie czuł się odpowiedzialny za mieszkańców Niniwy. Podobnie jak Kain mógł zapytać: „Azali jestem stróżem brata mego?” Człowiek kochający czuje się odpowiedzialny. Życie brata nie jest wyłącznie sprawą tego brata, lecz jego własną. Czuje się odpowiedzialny za swoich bliźnich tak samo, jak czuje się odpowiedzialny za siebie. Odpowiedzialność matki za jej maleńkie dziecko polega głównie na trosce o jego potrzeby fizyczne. W miłości pomiędzy dorosłymi ludźmi dotyczy ona głównie psychicznych potrzeb drugiego człowieka.

Odpowiedzialność mogłaby łatwo wyrodzić się w chęć panowania i posiadania, gdyby nie istniał trzeci składnik miłości: poszanowanie. Poszanowanie nie wypływa ze strachu czy z bojaźni; oznacza ono zdolność przyjmowania człowieka takim, jaki jest, zdawania sobie sprawy z jego niepowtarzalnej indywidualności. Poszanowanie oznacza pragnienie, aby drugi człowiek mógł się rozwijać i rosnąć taki, jaki jest. Tak więc poszanowanie zakłada brak chęci wyzysku. Chcę, aby kochana osoba wzrastała i rozwijała się dla jej własnego dobra i w sposób dla niej odpowiedni, a nie po to, aby mi służyć. Jeżeli kocham drugiego człowieka, to czuję się z nim jednością - z nim lub z nią - ale z nim takim, jaki jest, a nie takim, jakim ja bym potrzebował, aby był jako narzędzie moich celów. Jest *rzeczą* oczywistą, że poszanowaniem mogę darzyć tylko wówczas, gdy ja sam osiągnąłem niezależność; jeżeli mogę stać i chodzić bez pomocy protez, bez potrzeby panowania nad kimś, bez niczyjego wyzysku. Poszanowanie może istnieć wyłącznie w oparciu o wolność: „*L'amour est l'enfant de la liberie*”, jak mówi stara francusku pieśń; miłość jest dzieckiem wolności, nigdy zaś ujarzmienia.

Nie można szanować człowieka, jeżeli się go nie pozna; troska i odpowiedzialność byłyby ślepe, gdyby nie kierowało nimi p o z n a n i e. Poznanie byłoby pozbawione treści, gdyby jego motywem nie było zainteresowanie. Istnieje wiele warstw poznania; poznanie, które jest aspektem miłości, nie ogranicza się do peryferii, lecz przenika do samego sedna. Jest to możliwe tylko wtedy, gdy mogę wykroczyć poza zainteresowanie się samym sobą i zaczynam widzieć drugą osobę na tle jej spraw. Mogę na przykład wiedzieć, że ktoś jest zirytowany,

nawet jeżeli tego nie okazuje; mogą jednak znać tego kogoś jeszcze lepiej; wówczas wiem, że jest niespokojny, zmartwiony, że czuje się samotny, że czuje się winny. Wiem wtedy, że jego złość jest jedynie przejawem czegoś głębszego, i zaczynam patrzeć na niego jak na kogoś, kto jest niespokojny i zakłopotany, to znaczy raczej jako na człowieka cierpiącego niż złego.

Poznanie ma z problemem miłości jeszcze jeden, i to bardzo zasadniczy związek. Podstawowa potrzeba zespolenia się z drugim człowiekiem, aby móc wydostać się z więzienia własnej samotności, jak najściślej łączy się z innym charakterystycznym ludzkim pragnieniem, z chęcią poznania „tajemnicy człowieka”. Życie w samych swoich biologicznych aspektach jest cudem i tajemnicą, tym bardziej człowiek w swoim aspekcie duchowym jest niezgłębianą tajemnicą i dla samego siebie, i dla swoich bliźnich. Znamy siebie, a jednak, mimo największych wysiłków poznania, nie znamy. Znamy naszego bliźniego, a jednak go nie znamy, ponieważ nie jesteśmy rzeczą ani nasz bliźni nie jest rzeczą. Im bardziej próbujemy zgłębić naszą istotę albo istotę kogoś innego, tym bardziej wymyka się nam cel poznania. A jednak nie możemy się pozbyć pragnienia przeniknięcia tajemnicy duszy człowieka, dotarcia do tej najtajniejszej komórki, która jest „nim”.

Istnieje jedna droga, droga rozpaczliwa, do poznania tej tajemnicy: uzyskanie całkowitej władzy nad drugim człowiekiem; władzy, która by zmusiła go do zrobienia wszystkiego, czego chcemy, czucia tego, co chcemy, i do myślenia tego, co chcemy; władzy, która zmieniłaby tego człowieka w rzecz, naszą rzecz, naszą własność. Szczytowe nasilenie tego pragnienia poznania przejawia się w posuniętym do najdalszych granic sadyzmie, w pragnieniu i możliwości zadawania ludzkiej istocie cierpienia; torturowania jej, zmuszania, aby cierpiąc zdradziła swą tajemnicę. W tym pragnieniu przeniknięcia tajemnicy człowieka - jego, a więc i nas samych - tkwi podstawowe uzasadnienie głębi i intensywności okrucieństwa i żądzy niszczenia. W bardzo zwięzły sposób myśl ta została wyrażona przez Izaaka Babla. Cytuje on słowa swojego kolegi, oficera w okresie rewolucji rosyjskiej, który dopiero co zdeptał na śmierć swego byłego pana: „Strzelaniem - że tak się wyrażę - można się od człowieka tylko wymigać... Strzelaniem do duszy nie dojdiesz, gdzie ona jest w człowieku i jak się wykazuje. Ale ja, bywa, samego siebie nie żałuję, ja, bywa, wroga godzinę depczę albo ponad godzinę, ja pożądam życie bez osłonek poznać, jakie jest...”

Szczególnie wyraźnie obserwujemy tę drogę do poznania u dzieci. Aby poznać rzecz, dziecko bierze ją i rozbiera na części; tak samo postępuje ze zwierzęciem; z okrucieństwem odrywa skrzydła motylowi, aby go poznać, aby wydrzeć mu tajemnicę. Samo okrucieństwo umotywowane jest czymś głębszym: pragnieniem poznania tajemnicy rzeczy i życia.

Drugim sposobem prowadzącym do poznania „tajemnicy” jest miłość. Miłość jest czynnym przeniknięciem drugiej osoby, przeniknięciem, w którym moje pragnienie poznania zostaje zaspokojone dzięki zespoleniu. W akcie zespolenia poznaję ciebie, poznaję siebie, poznaję ^wszystkich - lecz nie dzieje się to w sposób intelektualny. Zdobywam w jedyny sposób wiedzę o tym, że w doznaniu zespolenia przeniknięcie życia staje się dostępne dla człowieka - i jest to wiedza, której nie może dać myśl. Sadyzm umotywowany jest chęcią poznania tajemnicy, a jednak nie pozwala jej poznać. Rozszarpałem stworzenie na sztuki, kawałek po kawałku, a jednocześnie udało mi się je tylko zniszczyć. Miłość jest jedynym sposobem poznania, który w akcie zespolenia daje mi odpowiedź na moje pytanie. W akcie miłości, w akcie oddawania się, w akcie przenikania drugiego człowieka znajduję siebie, odkrywam siebie, odkrywam nas oboje, odkrywam człowieka.

Pragnienie poznania siebie samych i poznania naszych bliźnich zostało wyrażone w nakazie delfickim: „Poznaj siebie samego”. Jest to główna sprężyna całej psychologii. Ale ponieważ pragnieniem tym jest dowiedzenie się wszystkiego o człowieku, poznanie jego najskrytszej tajemnicy, nie można go zaspokoić na drodze zwykłego poznania, poznania jedynie myślowego. Gdybyśmy wiedzieli o sobie nawet tysiąc razy więcej, to i tak nigdy nie dotarlibyśmy do samego jądra. Nadal pozostalibyśmy dla siebie zagadką, tak samo jak nasi bliźni są zagadką dla nas. Jedyna droga do pełnego poznania to akt miłości: akt ten wykracza poza myśl, wykracza poza słowa. Jest śmiałym pograżeniem się w przeżycie zespolenia. Jednakże poznanie myślowe, to znaczy poznanie psychologiczne, jest niezbędnym warunkiem do osiągnięcia pełnego poznania w akcie miłości. Muszę obiektywnie poznać drugiego człowieka i siebie po to, aby móc wiedzieć, jaki jest naprawdę, albo raczej aby przezwyciężyć złudzenia, irracjonalnie zniekształcony obraz, jaki sobie o nim wyrobiłem. Jedynie wtedy jeśli znam obiektywnie jakiegoś człowieka, mogę poznać w akcie miłości jego najgłębszą istotę. Problem poznania człowieka jest analogiczny do religijnego problemu poznania Boga. W konwencyjnej zachodniej teologii usiłuje się poznać Boga przy pomocy myśli, usiłuje się wypowiadać sądy o Bogu. Przyjmuje się, że można poznać Boga na drodze procesu myślowego. W mistycyzmie, który jest konsekwentnym rezultatem monoteizmu (jak to później spróbuję wykazać), zaprzestano prób zmierzających do poznania Boga za pomocą rozumu i zastąpiono je doznaniem zespolenia z Bogiem, w którym nie ma już miejsca - ani potrzeby - na wiedzę o Bogu.

Doznanie zespolenia z człowiekiem albo, na płaszczyźnie religijnej, z Bogiem, nie jest bynajmniej irracjonalne. Przeciwnie, jest ono, jak to wykazał Albert Schweitzer, konsekwencją realizmu, konsekwencją najbardziej śmiałą i zasadniczą. Opiera się na naszej

znajomości podstawowych, a nie przypadkowych granic naszego poznania. Jest to uświadomienie sobie, że nigdy nie „uchwycimy” tajemnicy człowieka i wszechświata, ale że możemy ją jednak poznać w akcie miłości. Psychologia jako nauka ma swoje granice i tak samo jak logiczną konsekwencją teologii jest mistycyzm, tak samo ostateczną konsekwencją psychologii jest miłość.

Troska, odpowiedzialność, poszanowanie i poznanie są wzajem od siebie niezależne. Są one zespołem postaw, z jakimi się spotykamy u dorosłego człowieka, to znaczy u człowieka, który rozwija produktywnie swoje siły, który chce mieć jedynie to, co sam sobie wypracował, który zrezygnował z narcystycznych marzeń o nieskończonej mądrości i wszechmocy, który osiągnął pokorę opartą na wewnętrznej sile, jaką dać może jedynie prawdziwie produktywna działalność.

Jak dotąd mówiłem o miłości jako o przewyciężeniu ludzkiego wyobcowania, jako o zaspokojeniu tęsknoty za zespoleniem. Lecz ponad powszechną egzystencjalną potrzebę zespolenia wyrasta swoista Teologiczna potrzeba: pragnienie zespolenia dwóch biegunów: męskiego i żeńskiego. Ideę tej polaryzacji najdobitniej wyraża mit, że pierwotnie mężczyzna i kobieta byli jedną istotą, że przecięto ją na pół i że odtąd każdy mężczyzna szuka swojej utraconej żeńskiej połowy, aby ponownie się z nią zespolić. (Ta sama idea pierwotnej jedności płci zawarta jest również w biblijnej historii o Ewie stworzonej z żebra Adama, tylko że w tej historii, zgodnie z duchem patriarchalizmu, kobieta uważana jest za istotę niższą od mężczyzny). Znaczenie tego mitu jest zupełnie wyraźne. Biegunowe przeciwieństwo płci prowadzi mężczyznę do szukania zespolenia w specyficzny sposób, do zespolenia z płcią przeciwną. Polaryzacja czynników męskich i żeńskich zachodzi również wewnątrz każdego mężczyzny i każdej kobiety. Tak samo jak fizjologicznie mężczyzna i kobieta posiadają hormony płci przeciwnej, tak samo są również biseksualni pod względem psychicznym. Noszą w sobie zasadę, która każe otrzymywać i przenikać, zasadę materii i ducha. Mężczyzna i kobieta odnajdują wewnętrzne zespolenie tylko w zespoleniu żeńskiej i męskiej przeciwstawności. I właśnie na przeciwstawności zasadza się wszelka siła kreacji. Męsko-żeńska przeciwstawność jest również podstawą kreacji międzyludzkiej. Przejawia się to wyraźnie na płaszczyźnie biologicznej w fakcie, że dziecko rodzi się w wyniku zespolenia nasienia i jaja, lecz nie inaczej jest w dziedzinie czysto psychicznej; w miłości między mężczyzną i kobietą każde z nich się odradza. (Zboczenie homoseksualne jest fiaskiem tego spolaryzowanego zespolenia i dlatego homoseksualista cierpi z powodu wiecznego osamotnienia, co odczuwa również przeciętny heteroseksualista, który nie umie kochać).

Ta sama polaryzacja męskich i żeńskich składników istnieje w przyrodzie; występuje to nie tylko, co jest zupełnie oczywiste, w świecie zwierzęcym i roślinnym, ale i w polaryzacji dwóch zasadniczych funkcji: otrzymywania i przenikania. Istnieje polaryzacja ziemi i deszczu, rzeki i oceanu, nocy i dnia, ciemności i światła, materii i ducha. Myśl tę pięknie wyraził wielki poeta i mistyk muzułmański, Rumi:

*Zaprawdę, nigdy kochanek nie szuka
nie będąc szukanym przez swą ukochaną.
Kiedy błyskawica miłości uderzyła w to serce,
wiedz, że miłość jest także w tamtym sercu.
Kiedy miłość Boga wzrasta w twoim sercu,
to bez wątpienia Bóg pokocha! ciebie.
Dźwięku klaskania nie wyda jedna raka
bez drugiej ręki.
Boska Mądrość jest przeznaczeniem i jej zrządzenie
każe nam kochać się wzajemnie.
Jest przeznaczeniem każdej części świata tworzyć parę.
ze swą towarzyszką.
W oczach mędrców Niebo jest mężczyzną, a Ziemia
kobietą;
Ziemia chroni to, co spada z Nieba.
Gdy Ziemi brak ciepła, to Niebo je zsyla; gdy
utraciła
swą świeżość i wilgoć, Niebo je przywraca.
Niebo krząta się pilnie jak małżonek
dla dobra swej małżonki;
A Ziemia krząta się koło domu: dogląda porodów
i niemowląt, które rodzi.
Uważaj Ziemię i Niebo za obdarzone mądrością,
bowiem spełniają pracę mądrych istot.
Jeśli ta para nie czerpie rozkoszy od siebie nawzajem,
to czemu szuka siebie jak para kochanków?
Jak - bez Ziemi - ma kwitnąć kwiat i drzewo? Cóż
wtedy dałaby woda i ciepło Niebu?*

Jak Bóg włożył pragnienie w serce mężczyzny i kobiety

po to, by zachować świat przez ich związek.

Tak też zaszczerpił każdej części istnienia

pragnienie innej części.

Dzień i Noc są pozornie wrogami, jednakże oboje

służą jednemu celowi:

Kochają się wzajemnie, aby doskonalić

swe wspólne dzieło.

Gdyby Noc nie obdarzała Człowieka bogactwem,

wówczas Dzień nie miałby nic do rozdania?

Problem męsko-żeńskej polaryzacji prowadzi do dalszych rozważań głównego tematu miłości i płci. Wspomniałem uprzednio o błędzie Freuda, który dopatruje się w miłości wyłącznie wyrazu - lub sublimacji -instynktu seksualnego, a nie dostrzega, że pożądanie seksualne jest jednym z przejawów potrzeby miłości i zespolenia. Ale błąd Freuda sięga głębiej. Zgodnie z jego fizjologicznym materializmem widzi on w instynkcie seksualnym rezultat chemicznie wywołanego napięcia w organizmie, które powoduje ból i pragnie się rozładować. Celem pożądania seksualnego jest usunięcie tego bolesnego napięcia - zaspokojenie polega właśnie na jego rozładowaniu. Pogląd ten jest słuszny o tyle, że pożądanie seksualne działa w taki sam sposób jak głód czy pragnienie, gdy organizm jest niedożywiony. Według tej koncepcji pożądanie seksualne jest swędzeniem, a zaspokojenie seksualne usunięciem tego swędzenia. Gdyby w rzeczywistości uznać tego rodzaju koncepcję popędu, ideałem zaspokojenia płciowego byłby samogwałt. Freud, w sposób zakrawający na paradoks, lekceważy psychobiologiczny aspekt popędu seksualnego, męsko-żeńską polaryzację i pragnienie zaspokojenia jej przez zespolenie. Do tego dość dziwnego błędu doprowadził prawdopodobnie krańcowy patriarchalizm Freuda, który skłonił go do przypuszczenia, że instynkt seksualny *per se* jest męski i w ten sposób kazał mu zignorować swoiście kobiecy popęd płciowy. Freud wyraził ten pogląd w *Trzech rozprawach z teorii seksualnej* twierdząc, że *libido* posiada z reguły „męski charakter”, niezależnie od tego, czy *libido* to występuje u kobiety, czy mężczyzny. Tę samą tezę wyraża również w zracjonalizowanej formie teoria Freuda, że mały chłopiec reaguje na kobietę tak jak wykastrowany mężczyzna oraz że kobieta sama stara się w rozmaity sposób skompensować sobie brak męskich narządów płciowych. Ale kobieta nie jest wykastrowanym mężczyzną, a jej popęd płciowy jest typowo kobiecy i nie

ma w sobie nic z „charakteru męskiego” - Seksualny pociąg między płciami jedynie częściowo motywuje potrzeba usunięcia napięcia; w głównej mierze potrzebą jest zespolenie się z drugim seksualnym biegunem. W rzeczywistości miłosny pociąg nie wyraża się bynajmniej jedynie w pociągu seksualnym. Istnieje męskość i kobiecość tak samo w charakterze ludzkim jak w seksualnej funkcji. Charakter męski cechuje zdolność do przenikania, kierowania, aktywność, zdyscyplinowanie i śmiałość; kobiecy charakter natomiast odznacza się twórczym przyjmowaniem, opiekuńczością, rzeczowością, wytrzymałością, macierzyńskimi uczuciami. (Należy stale pamiętać, że w każdym osobniku mieszają się oba zespoły cech, lecz dominują te, które należą do „jego” lub „jej” płci). Bardzo często, gdy męskie cechy charakteru są osłabione, ponieważ mężczyzna w swym rozwoju emocjonalnym pozostał dzieckiem, próbuje on zrekompensować sobie ten brak przez podkreślanie swej męskiej roli wyłącznie w dziedzinie płci. Taki właśnie jest Don Juan, który musi udowadniać swoją męską tężyznę w dziedzinie seksualnej, ponieważ nie jest pewny swej męskości w sensie charakterologicznym. Kiedy porażenie męskości sięga dalej, sadyzm (użycie siły) staje się głównym wypaczonym substytutem męskości. Natomiast przy osłabieniu lub zboczeniu kobiecego popędu płciowego przeradza się on w masochizm lub zaborczość.

Krytycy Freuda zarzucali mu przypisywanie zbyt wielkiego znaczenia sprawom płci. U podstaw tych zarzutów tkwiła często chęć usunięcia z systemu freudowskiego elementu, który budził krytykę i niechęć ludzi o konwencjonalnym sposobie myślenia. Freud doskonale orientował się w tych motywach i właśnie dlatego odpiął próbę zmiany swojej teorii płci. Istotnie jak na owe czasy teoria ta miała wyzywający i rewolucyjny charakter. Ale co było prawdą około roku 1900, nie może być prawdą pięćdziesiąt lat później. Obyczaje seksualne zmieniły się tak bardzo, że teorie Freuda przestały już szokować zachodnie klasy średnie i pachnie jakimś donkiszoteryjnym radykalizmem, kiedy dzisiaj ortodoksyjni analitycy nadal myślą, że są odważni i postępowi, występując w obronie teorii płci Freuda. W istocie ich kierunek psychoanalizy jest konformistyczny i nie usiłuje podejmować takich zagadnień psychologicznych, które by mogły prowadzić do krytyki współczesnego społeczeństwa.

Moja krytyka teorii Freuda nie polega na zarzucie, że przywiązywał on zbyt wielką wagę do płci, lecz na tym, że nie umiał zrozumieć płci w sposób dostatecznie głęboki. Zrobił pierwszy krok odkrywając, jak ważną rzeczą są namiętności łączące ludzi; zgodnie z jego filozoficznymi przesłankami wyjaśniał je fizjologicznie. W dalszym rozwoju psychoanalizy staje się rzeczą konieczną skorygowanie i pogłębienie poglądu Freuda przez przeniesienie jego zapatrywań z płaszczyzny fizjologicznej na płaszczyznę biologiczną i egzystencjalną.^{1?}

2. Miłość między rodzicami a dzieckiem

Gdyby los nie oszczędził dziecku świadomości niepokoju związanego z oddzieleniem się od matki, od życia wewnątrzmacicznego, musiałoby ono odczuwać lęk przed śmiercią od chwili przyjścia na świat. Przecież po urodzeniu niemowlę prawie nie różni się od tego, czym było przed urodzeniem; nie potrafi rozpoznawać przedmiotów, nie zdaje sobie jeszcze sprawy z siebie samego i ze świata, który istnieje poza nim. Odczuwa jedynie dodatnie działanie ciepła i pokarmu, nie odróżniając ich j t jednak od ich źródła: matki. Matka jest ciepłem, matka jest pokarmem, ^ matka jest pełnym błogości stanem zadowolenia i bezpieczeństwa. Stan ten, używając określenia Freuda, jest stanem narcyzmu. Zewnętrzna rzeczywistość, ludzie i rzeczy posiadają znaczenie tylko o tyle, o ile sprawiają zadowolenie lub zakłócają wewnętrzny stan ciała. Rzeczywiste jest tylko to, co jest wewnątrz; wszystko, co istnieje na zewnątrz, realne jest jedynie w kategoriach potrzeb niemowlęcia-nigdy zaś w kategoriach właściwości i potrzeb świata zewnętrznego.

Kiedy dziecko rośnie i rozwija się, nabiera zdolności do postrzegania rzeczy takimi, jakie są; zadowolenie odczuwane przy ssaniu *zaczyna* być czymś innym niż sutek, pierś czymś innym niż matka. Wreszcie dziecko zaczyna odczuwać pragnienie, zaspokajające je mleko, pierś, matkę -jako różne, odrębnie istniejące zjawiska i przedmioty. *Zaczyna* rozumieć, że wiele innych przedmiotów różni się między sobą i że posiadają one swój własny byt. W tym momencie uczy się nadawać im nazwy.

Równocześnie uczy się obchodzić z nimi; uczy się, że ogień jest gorący i że sprawia ból, że ciąto matki jest ciepłe i przyjemne, że drzewo jest ciężkie i twarde, a papier lekki i można go podrzeć. Dziecko uczy się, jak postępować z ludźmi; widzi, że matka się uśmiecha, kiedy je, że bierze je na ręce, kiedy płacze, że je chwali, jeśli się wypróżni. Wszystkie te doznania krystalizują się i skupiają w jednym doznaniu: *jestem kochany*. Jestem kochany, bo jestem bezradny. Jestem kochany, bo jestem ładny, cudowny. Jestem kochany, bo matka mnie potrzebuje. Wyrażając to bardziej ogólnie: *jestem kochany za to, czym jestem* - albo jeszcze dokładniej: *jestem kochany, ponieważ j e s t e m*. Ta świadomość, że się jest kochanym przez matkę, jest bierna. Nic nie muszę zrobić, żeby być kochanym - miłość matki nie jest obwarowana żadnym warunkiem. Jedyne, co muszę zrobić, to b y ć - być jej dzieckiem. Miłość matki jest szczęściem, jest spokojem, nie trzeba jej zdobywać, nie trzeba na nią zasługiwać. Ale fakt, że miłość macierzyńska nie jest niczym uwarunkowana, ma negatywną stronę. Na tę miłość nie tylko nie trzeba zasłużyć - ale także nie można jej zdobyć,

wywołać ani nią kierować. Jeśli istnieje, jest błogosławieństwem; jeżeli jej nie ma, wydaje się, że całe piękno uszło z życia - i nie można uczynić nic, aby ją zrodzić.

Dla większości dzieci w wieku poniżej ośmiu i pół do dziesięciu lat problem polega niemal wyłącznie na tym, aby być kochanym, być kochanym za to, czym się jest. Dziecko do tego wieku jeszcze nie kocha; przyjmuje tylko z wdzięcznością i radością to, że jest kochane. Na tym etapie rozwoju dziecka na widowni pojawia się nowy czynnik: nowe poczucie, że miłość można wywołać własnym działaniem. Po raz pierwszy dziecko zaczyna myśleć o tym, aby dać coś matce lub ojcu, aby coś zrobić - zadeklamować, wykonać rysunek czy zaśpiewać piosenkę. Po raz pierwszy w życiu dziecka idea miłości przeobraża się z pragnienia, by być kochanym, w chęć kochania samemu, w miłość twórczą. Wiele lat dzieli te pierwsze początki od dojrzałej miłości. W końcu dziecko, czasem już w wieku młodzieńczym, przezwycięża swój egocentryzm; drugi człowiek przestaje być już przede wszystkim środkiem do zaspokajania własnych potrzeb. Potrzeby drugiego człowieka zaczynają być równie ważne jak własne. Zaczyna mu sprawiać więcej przyjemności dawanie niż branie. Kochać - staje się czymś ważniejszym niż to, że się jest samemu kochanym; dzięki miłości dziecko opuszcza więzienną celę samotności i izolacji wytworzoną przez narcyzm i egocentryzm. Co więcej, czuje możliwość wywołania miłości przez miłość i stawia ją wyżej niż zależność otrzymywania, kiedy się jest kochanym - przyjmowaną często wraz z rolą małego, bezradnego, chorego lub „dobrego” dziecka. Miłość dziecięca trzyma się zasady: „K o c h a m , p o n i e w a ż j e s t e m k o c h a n y”. Natomiast miłość dojrzała twierdzi: „T e s t e m k o c h a n y , p o n i e w a ż k o c h a m”. A niedojrzała miłość mówi: „K o c h a m cię, p o n i e w a ż ć i ę p o t r z e b u j ę”. Dojrzała miłość powiada: „P o t r z e b u j e cię, p o n i e w a ż cię k o c h a m”.

Z rozwojem zdolności kochania ściśle wiąże się rozwój p r z e d m i o t u miłości. Pierwsze miesiące i lata życia dziecka to okres, w którym odczuwa ono najsilniejsze przywiązanie do matki. Zaczyna się ono jeszcze przed pojawieniem się dziecka na świecie, gdy matka i dziecko wciąż jeszcze stanowią jedność, chociaż są dwiema istotami. Urodzenie dziecka pod pewnymi względami zmienia sytuację, jednakże nie aż tak bardzo, jak by się to mogło wydawać. Dziecko, chociaż żyje już teraz poza łonem matki, nadal całkowicie od niej zależy. Ale z dnia na dzień coraz bardziej się uniezależnia: uczy się chodzić, mówić, odkrywać świat na własną rękę; jego stosunek do matki traci coś ze swojej życiowej doniosłości, natomiast stosunek do ojca nabiera coraz większego i większego znaczenia.

Aby zrozumieć to przesunięcie punktu ciężkości z matki na ojca, musimy przyjrzeć się zasadniczym różnicom między miłością ojca a miłością matki. O miłości macierzyńskiej już mówiliśmy. Miłość macierzyńska z samej swojej natury nie jest uzależniona od żadnego warunku. Matka kocha nowo narodzone niemowlę, ponieważ jest to jej dziecko, a nie dlatego że spełniło ono jakiś konkretny warunek czy sprostало jakimś szczególnym wymaganiom. (Oczywiście, kiedy mówię tu o miłości macierzyńskiej i ojcowskiej, mówię o jej „typach idealnych” - w ujęciu Maxa Webera lub o archetypach - w ujęciu Junga, i nie zakładam, że każdy ojciec i każda matka kochają w ten sposób. Mam na myśli matczyny i ojcowski pierwiastek reprezentowany w osobie matki i ojca). Niczym nie uwarunkowana miłość odpowiada jednej z najgłębszych tęsknot nie tylko dziecka, lecz każdej ludzkiej istoty; z drugiej strony, sytuacja, w której się jest kochanym z powodu własnych zasług, dlatego że się na miłość zasługuje, zawsze budzi wątpliwości; a może nie zadowoliłem osoby, o której miłość zabiegam? a może to, a może tamto? - zawsze istnieje obawa, że miłość może zniknąć. Co więcej, „zasłużona” miłość łatwo pozostawia gorzkie uczucie, że nie jest się kochanym dla siebie samego, ale jedynie dlatego, że sprawia się przyjemność, a ostatecznie, zbadawszy rzecz dokładnie, okaże się, iż w ogóle się nie jest kochanym, lecz używanym. Nic więc dziwnego, że wszyscy tęsknimy gorąco do miłości macierzyńskiej i jako dzieci, i jako dorośli. Większość dzieci ma to szczęście, że posiada matczyną miłość (do jakich granic, o tym powiemy później). To samo pragnienie staje się o wiele trudniejsze do zaspokojenia, kiedy się jest dorosłym. Przy najbardziej sprzyjających warunkach miłość ta pozostaje jako składnik normalnej miłości erotycznej; często znaj duje wyraz w religii, częściej w stanach neurotycznych. Stosunek do ojca jest zupełnie inny. Matka jest domem, z którego wychodzimy, jest naturą, glebą, oceanem; ojciec nie reprezentuje żadnego takiego naturalnego domu. W pierwszych latach życia jego kontakty z dzieckiem są bardzo ograniczone, jego znaczenie dla dziecka w tym pierwszym okresie nie da się porównać ze znaczeniem, jakie odgrywa matka. Ale podczas gdy ojciec nie reprezentuje naturalnego świata, reprezentuje on drugi biegun ludzkiego istnienia: świat myśli, przedmiotów, które są dziełem rąk ludzkich, świat prawa i ładu, dyscypliny, podróży i przygody. Ojciec jest tym, który uczy dziecko i który wskazuje mu drogę w świat.

Z funkcją tą ściśle łączy się inna, mająca związek z rozwojem społeczno-ekonomicznym. Kiedy pojawiła się własność prywatna, którą dziedziczy jeden z synów, ojciec dokonywał wyboru tego syna, któremu by mógł pozostawić swą własność. Oczywiście był nim ten syn, którego ojciec uważał za najbardziej odpowiedniego do objęcia po nim dziedzictwa, syn, który był do niego najbardziej podobny, którego najbardziej lubił. Miłość ojca jest miłością

uwarunkowaną. Jej zasadą jest: „Kocham cię, p o n i e w’ a ż spełniasz moje oczekiwania, ponieważ wypełniasz swój obowiązek, ponieważ jesteś taki jak ja”. W obwarowanej warunkami miłości ojcowskiej odnajdujemy, tak samo jak w niczym nie uwarunkowanej miłości macierzyńskiej, aspekt negatywny i pozytywny. Tym negatywnym aspektem jest fakt, że na miłość ojcowską trzeba zasłużyć, że można ją utracić, jeżeli nie spełni się oczekiwań. W naturze miłości ojcowskiej tkwi fakt, że posłuszeństwo staje się główną zaletą, a nieposłuszeństwo głównym grzechem - a karą jest odebranie ojcowskiej miłości. Ale pozytywna strona tej miłości jest również ważna. Jeżeli miłość ojca uzależniona jest od jakichś warunków, mogę coś zrobić, aby ją zdobyć, mogę na nią zapracować; miłość ojca nie leży, tak jak miłość macierzyńska, poza zasięgiem mojej kontroli.

Stosunek matki i ojca do dziecka odpowiada jego własnym potrzebom. Niemowlę potrzebuje nie uwarunkowanej miłości matki i jej opieki zarówno pod względem fizycznym, jak psychicznym. Po ukończeniu sześciu lat dziecko zaczyna potrzebować miłości ojca, jego autorytetu i kierownictwa. Rolą matki jest zapewnienie mu bezpieczeństwa w życiu, rolą zaś ojca jest uczyć je, kierować nim, aby mogło uporać się z problemami stawianymi przed nim przez określoną społeczność, w której się urodziło. W idealnym przypadku miłość matki nie próbuje stać na przeszkodzie rozwojowi dziecka, nie usiłuje nagradzać bezradności. Matka powinna ufać życiu, nie powinna być przesadnie lękliwa i *zarażać* dziecka swym niepokojem. Powinna chcieć, aby dziecko stało się niezależne i aby w końcu od niej odeszło. Natomiast miłość ojca powinna kierować się pewnymi zasadami i wymaganiami; powinna być raczej cierpliwa i wyrozumiała niż posługiwać się groźbami i narzucaniem swego autorytetu. Miłość ta powinna dawać rosnącemu dziecku coraz większe poczucie własnej siły i wreszcie pozwolić mu rządzić się własnym rozumem i obywać bez autorytetu ojca.

W końcu dojrzały człowiek dochodzi do momentu, w którym staje się sam dla siebie i ojcem, i matką. Posiada już jak gdyby matczyne i ojcowskie sumienie. Sumienie matczyne mówi: „Nie ma karygodnego czynu, nie ma zbrodni, która by mogła pozbawić cię mojej miłości, mego pragnienia, abyś żył i był szczęśliwy”. Ojcowskie sumienie mówi: „Postąpiłeś źle, musisz ponieść konsekwencje złego uczynku, i jeżeli nadal mam cię kochać, musisz przede wszystkim zmienić swoje postępowanie”. Dorosły człowiek traci w końcu fizyczny, zewnętrzny obraz postaci matki i ojca, ale stworzył je już w sobie. Jednakże w przeciwieństwie do teorii Freuda o *superego* zbudował je w sobie nie przez w c i e l e n i e matki i ojca, ale przez zbudowanie sumienia macierzyńskiego w oparciu o swoją własną zdolność kochania, a sumienia ojcowskiego o własny rozsądek i sztukę sądzenia. Co więcej, człowiek dorosły w miłości łączy sumienie ojcowskie z macierzyńskim, mimo iż się wydaje, że jedno przeczy

drugiemu. Gdyby zatrzymał jedynie sumienie ojcowskie, stałby się szorstki i niehumanitarny. Gdyby zatrzymał natomiast jedynie sumienie matczyne, byłby skłonny do utraty własnego osądu i przeszkadzałby sobie i innym w rozwoju. Ten rozwój - od przywiązania do matki do przywiązania do ojca i ostatecznej syntezy obu uczuć - stanowi podstawę zdrowia psychicznego i dojrzałości. Zakłócenie go staje się podstawową przyczyną wszelkich neuroz. Mimo że obszerniejsze omówienie tego tematu wykracza poza zakres niniejszej książki, kilka krótkich uwag może posłużyć do wyjaśnienia tego stwierdzenia.

Jedną z przyczyn powstania neurozy może wywodzić się stąd, że chłopiec ma kochającą, ale zbyt pobłażliwą lub despotyczną matkę i mało stanowczego, obojętnego ojca. W tym wypadku chłopak może nie wyjść poza początkowe stadium przywiązania do matki i wyrosnąć na człowieka zależnego od niej, bezradnego, o biernym usposobieniu, który chce otrzymywać, chce, aby się nim opiekowano, troszczono o niego i któremu brak cech ojcowskich - dyscypliny, niezależności, zdolności kierowania własnym życiem. Może próbować znajdować „matki” w każdym, czasem w kobietach, czasem w mężczyznach cieszących się autorytetem i władzą. Jeżeli z drugiej strony matka jest zimna, nieczuła i despotyczna, dziecko może albo przerzucić zapotrzebowanie na matczyną opiekę na swego ojca lub na późniejsze postaci ojców - i w tym wypadku końcowy rezultat będzie podobny do poprzedniego - albo też stać się człowiekiem myślącym jednostronnie kategoriami wyłącznie ojcowskimi, ślepo podporządkowanym zasadom prawa, porządku i autorytetu, który nie potrafi ani oczekiwać, ani otrzymywać miłości nie związanej z żadnymi warunkami. Rozwój tych cech będzie jeszcze silniejszy, jeżeli ojciec jest człowiekiem autorytatywnym i równocześnie bardzo przywiązanym do syna. Rzeczą charakterystyczną w tych wszystkich neurotycznych formach rozwojowych jest to, że jeden pierwiastek -ojcowski lub matczyne - nie rozwija się, lub - co się *zdarza* w ostrzejszych stanach neurotycznych - że role ojca i matki mieszają się, i to zarówno w stosunku do osób trzecich, jak też w stosunku do tych ról wewnątrz danego człowieka. Dalsze badanie może wykazać, że pewne typy nerwic, jak na przykład nerwica obsesyjna, rozwijają się częściej na podstawie jednostronnego przywiązania do ojca, podczas gdy inne, jak histeria, alkoholizm czy niezdolność do bronięcia swoich praw i borykania się z życiem, a również różne depresje - są wynikiem jednostronnego skupienia emocjonalności na matce.

3. Przedmioty miłości

Miłość nie jest zasadniczo stosunkiem do jakiejś określonej osoby; jest ona p o s t a w ą ,
pewną w ł a ś c i w o ś c i ą c h a r a k t e r u , która określa stosunek człowieka do świata w
ogóle, a nie do jednego „obiekta”¹ miłości. Jeżeli dany człowiek kocha tylko jedną osobę, a jest
obojętny wobec reszty swoich bliźnich, jego miłość nie jest miłością, lecz symbolicznym
przywiązaniem albo egotyzmem. A jednak większość ludzi uważa, że miłość to sprawa
obiekta, a nie zdolności. Ludzie ci często sądzą, że świadczy to o sile ich miłości, jeżeli nie
kochają nikogo poza „ukochaną” osobą. Jest to taki sam błąd jak ten, o którym
wspominaliśmy wyżej. Ponieważ nie dostrzega się, że miłość jest działaniem, siłą ducha,
dochodzi się do przekonania, że wystarczy jedynie znaleźć właściwy obiekt - a potem wszystko
potoczy się już samo. Pogląd taki da się porównać do stanowiska człowieka, który chce
malować, ale nie uczy się sztuki malarstwa, tylko twierdzi, że musi poczekać na odpowiedni
obiekt, a potem kiedy go już znajdzie, będzie malował znakomicie. Jeżeli naprawdę kocham
jakąś osobę, kocham wszystkich, kocham świat, kocham życie. Jeżeli mogę powiedzieć do
kogoś: „Kocham cię”, muszę także umieć temu komuś powiedzieć: „Kocham w tobie wszyst-
kich, przez ciebie kocham świat, kocham też w tobie samego siebie”.

Powiedzenie, że miłość jest nastawieniem wobec wszystkich, a nie wobec jednego
człowieka, nie zakłada bynajmniej twierdzenia, że między różnymi typami miłości nie
zachodzą żadne różnice. Istnieją one i są zależne od przedmiotu darzonego miłością.

A. MIŁOŚĆ BRATERSKA

Najbardziej zasadniczym rodzajem miłości, który stanowi podstawę wszelkich innych typów
miłości, jest m i ł o ś ć b r a t e r s k a . Przez określenie to rozumiem poczucie
odpowiedzialności, troskę o drugiego człowieka, poszanowanie, poznanie żyjącej obok
ludzkiej istoty oraz chęć ułatwienia jej życia. To właśnie jest ten rodzaj miłości, o którym
wspomina Biblia, mówiąc: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”. Miłość braterska jest
miłością do wszystkich ludzi; charakteryzuje ją brak wyłączości. Jeśli rozwinąłem w sobie
zdolność kochania, nie mogę² nie kochać moich braci. W miłości braterskiej zawiera się
uczucie zjednoczenia z wszystkimi ludźmi, ludzkiej solidarności i pojednania. Miłość
braterska opiera się na uczuciu, że wszyscy jesteśmy jednością. Różnice w uzdolnieniach,
inteligencji, wiedzy nie znaczą nic w porównaniu z faktem, że wszyscy ludzie mają taką samą
duszę. Aby odczuć tę tożsamość, trzeba przeniknąć z obrzeży do samej głębi. Jeżeli widzę w
drugim człowieku to, co jest na samej powierzchni, dostrzegam głównie różnice, to, co nas

dzieli. Jeżeli natomiast przeniknę do jego wnętrza, dostrzegę naszą tożsamość, fakt naszego braterstwa. To powiązanie głębinowe, zamiast powiązania czysto powierzchniowego, jest powiązaniem wewnętrznym. Pięknie to wyraziła Simone Weil: „Te same słowa (na przykład gdy mężczyzna mówi do swojej żony „kocham cię”) mogą być albo banalne, albo niezwykle, w zależności od tego, jak zostały wypowiedziane. Zależy jedynie, z jak głębokiej warstwy istoty ludzkiej się wydobyły, bez żadnego przy tym udziału woli. Dzięki cudownemu porozumieniu trafiają one do tej samej warstwy tej osoby, do której zostały skierowane. Tak więc ten, kto słucha, może odróżnić, jeżeli posiada zdolność odróżnienia, jaką wartość mają te słowa”

Miłość braterska jest miłością między równymi: w rzeczywistości jednak nawet jako równi nie zawsze jesteśmy „równi”, ponieważ posiadamy naturę ludzką, wszyscy potrzebujemy pomocy. Dziś ja, jutro ty. Lecz ta potrzeba pomocy nie oznacza bynajmniej, że jeden człowiek jest bezradny, a drugi potężny. Bezradność jest stanem przejściowym, natomiast zdolność utrzymywania się i chodzenia na własnych nogach jest stałą i powszechną. A jednak kochanie człowieka bezradnego, biednego i obcego jest początkiem miłości braterskiej. Nietrudno kochać kogoś pochodzącego z własnej krwi. Zwierzę kocha swoje młode i troszczy się o nie. Bezradna istota kocha swego opiekuna, gdyż jej życie zależy od niego; dziecko kocha swoich rodziców, ponieważ ich potrzebuje. Miłość zaczyna się rozwijać dopiero wówczas, gdy kochamy tych, którzy nie mogą się nam rta nic przydać. Jest rzeczą charakterystyczną, że w Starym Testamencie głównym przedmiotem ludzkiej miłości jest ubogi, obcy, wdowa i sierota, a wreszcie wróg narodowy - Egipcjanin i Edomita. Odczuwając litość do bezradnej istoty, człowiek zaczyna rozwijać w sobie miłość do swego brata; a i w miłości własnej kocha również tego, kto potrzebuje pomocy: słabą, niepewną istotę ludzką. Litość zawiera w sobie element poznania

i utożsamienia. „Znacie serce obcego - mówi Stary Testament - bo sami byliście obcy w kraju Egiptu... dla tego kochajcie obcego”.¹³

B. MIŁOŚĆ MATCZYNA

Zajmowaliśmy się już istotą miłości matczynej w poprzednim rozdziale, kiedy rozpatrywaliśmy różnicę pomiędzy miłością macierzyńską a ojcowską. Miłość matczyna jest, jak się tam wyraziłem, niczym nie uwarunkowaną afirmacją życia dziecka i jego potrzeb. Do

tego określenia należy tu jednak dodać jeden bardzo ważny szczegół. Afirmacją życia dziecka posiada dwa aspekty; pierwszy z nich to odpowiedzialność i troska o dziecko, absolutnie niezbędne do zachowania go przy życiu i zapewnienia mu rozwoju. Drugi dotyczy spraw sięgających dalej aniżeli samo przetrwanie. Jest nim nastawienie, które wpaja dziecku miłość do życia, które daje mu przeświadczenie, że dobrze jest żyć, dobrze jest być małym chłopcem czy dziewczynką, dobrze jest być na świecie. Oba te aspekty miłości matczynej bardzo zwięźle wyraża biblijna historia o stworzeniu świata. Bóg stwarza świat i człowieka. Wyraża to afirmację istnienia. Ale na tym nie dosyć. Każdego dnia tworzenia przyrody, zakończonego stworzeniem człowieka. Bóg mówi: „To jest dobre”. Podobnie miłość matczyna na tym drugim etapie każe dziecku czuć, że dobrze jest się urodzić; przekonanie to wpaja dziecku nie tylko samo pragnienie utrzymania się przy życiu, ale i miłość do życia. Tę samą ideę wyraża chyba także inny symbol biblijny. Ziemia Obiecana (ziemia jest zawsze symbolem matki) opisana jest tam jako „mlekiem i miodem płynąca”. Mleko jest symbolem pierwszego aspektu miłości, tego, którego treścią jest troska i afirmacja. Miód symbolizuje słodycz życia, jego ukochanie i szczęście z powodu tego, że się żyje. Większość matek potrafi ofiarowywać wyłącznie „mleko”, bardzo niewiele potrafi dawać również „miód”. Aby móc dawać „miód”, matka musi być nie tylko „dobrą matką”, ale i szczęśliwym człowiekiem - a to nieczęsto się zdarza. Działa to na dziecko w sposób przemożny. Ukochanie życia przez matkę jest równie zaraźliwe jak jej niepokój. Oba te uczucia wywierają bardzo głęboki wpływ na całą osobowość dziecka; bez trudu można rozróżnić te wśród dzieci - a także wśród dorosłych - które otrzymywały samo „mleko”, od tych, które otrzymały „mleko i miód”.

W przeciwieństwie do miłości braterskiej i miłości erotycznej, która jest miłością między równymi partnerami, stosunek między matką a dzieckiem z samej swojej natury jest stosunkiem nierównym, w którym jedna osoba potrzebuje wszelkiej pomocy, a druga jej udziela. Właśnie ze względu na ten altruistyczny, pozbawiony egoizmu charakter, miłość matczyną uważa się za najwyższy rodzaj miłości, za najświętszą spośród wszystkich uczuciowych więzi. Wydaje się jednak, że prawdziwym osiągnięciem matczynej miłości nie jest jej miłość do niemowlęcia, lecz jej uczucie do rosnącego dziecka. Przeważająca większość matek kocha swoje dzieci, póki są małe i całkowicie od niej zależne. Większość kobiet pragnie mieć dzieci i cieszy się nowo narodzonym dzieckiem oraz gorliwie się o nie troszczy. Dzieje się tak mimo tego, że nie „otrzymują” one od dziecka nic w zamian poza uśmiechem lub wyrazem zadowolenia malującym się na jego twarzy. Wydaje się, że taki stosunek do miłości wynika częściowo z głęboko zakorzonego zespołu instynktów, który można spotkać zarówno u

zwierząt, jak i u kobiet. Ale niezależnie od znaczenia, jakie może mieć ten czynnik instynktu, działają tu również specyficznie ludzkie czynniki psychologiczne, które rodzą ten typ miłości macierzyńskiej. Jeden z nich można odnaleźć w elemencie narcyzmu miłości matczynej. Ponieważ kobieta dalej odczuwa niemowlę jako część samej siebie, jej miłość i zaślepienie może być zaspokojeniem jej narcyzmu. Innym umotywowaniem może być pragnienie władzy lub posiadania u matki. Bezradne i najzupełniej zdane na jej wolę dziecko zaspokaja w sposób naturalny władcze i zaborcze instynkty kobiety.

Chociaż z tego samego rodzaju motywami spotykamy się często, są one prawdopodobnie mniej ważne i mniej powszechne niż motyw, który można nazwać potrzebą transcendencji.

Jest to jedna z najbardziej podstawowych potrzeb człowieka i wywodzi się z głęboko zakorzenionej w człowieku świadomości, że nie zadowala go rola istoty stworzonej, że nie chce pogodzić się z rolą kostki do gry wyrzucanej z kubka. Człowiek chce się czuć twórcą, kimś, kto wykracza poza bierną rolę tego, kto został stworzony. Wiele dróg prowadzi do radości tworzenia; najbardziej naturalną i najprostszą jest troska i miłość matki do swojego tworu. Wykracza ona poza samą siebie w swym stosunku do dziecka, miłość do dziecka nadaje jej życiu znaczenie i ważność. (Właśnie w fakcie, że mężczyzna nie może zaspokoić swojej potrzeby transcendencji, dając życie dziecku, tkwi przyczyna, że dąży on do jej zaspokajania tworząc różne dzieła rąk czy też myśli).

Ale dziecko musi rosnąć. Musi opuścić łono matki, musi odejść od jej piersi; musi w końcu stać się całkowicie samodzielną istotą. Kwintesencją miłości matczynej jest troska o rozwój dziecka, co oznacza, że chce ona, aby dziecko oddzieliło się od niej. Tu leży zasadnicza różnica między miłością macierzyńską a miłością erotyczną. W tej ostatniej dwoje ludzi, którzy dotąd byli oddzielnymi istotami, stają się jednością. Natomiast w miłości matczynej dwoje ludzi będących jednością rozdziela się. Matka musi to nie tylko tolerować, musi chcieć pomóc w tym odejściu. Właśnie na tym etapie miłość matczyna staje się tak trudnym zadaniem, ponieważ wymaga bezinteresowności, zdolności dawania wszystkiego, nie pragnąc w zamian nic poza szczęściem ukochanej istoty. I właśnie na tym etapie wiele matek nie jest w stanie wywiązać się z zadań, jakie stawia przed nimi miłość do dziecka. Kobieta zapatrzona w siebie, władcza i zaborcza, może być „kochającą” matką, póki dziecko jest małe. Jedynie prawdziwie kochająca kobieta, która jest szczęśliwsza, kiedy daje, niż kiedy bierze, która mocno stoi na własnych nogach, może być naprawdę kochającą matką nawet wtedy, kiedy jej dziecko zaczyna się od niej oddalać.

Miłość matki do dorastającego dziecka, miłość, która dla siebie nie chce nic, jest może najtrudniej osiągalną formą miłości, a przy tym chyba najbardziej zwodniczą z powodów

łatwości, z jaką matce przychodzi kochać małe dziecko. Ale właśnie dlatego kobieta może być prawdziwie kochającą matką tylko wtedy, gdy umie k o c h a ć; jeżeli potrafi kochać swego męża, inne dzieci, obcych i wszystkich ludzi. Kobieta, która nie jest zdolna do takiego uczucia, może być czułą matką jedynie wtedy, gdy dziecko jest małe, ale nie może być kochającą matką. Sprawdzianem jej prawdziwej miłości jest gotowość do pogodzenia się z odejściem dziecka - i darzenie go uczuciem nawet wtedy, gdy już odejdzie.

C. MIŁOŚĆ EROTYCZNA

Podczas gdy miłość macierzyńska jest miłością do bezradnych stworzeń, miłość braterska jest miłością między równymi. Mimo że oba te uczucia O różnią się od siebie, łączy je to, że z samej istoty nie ograniczają się do jednej osoby. Jeżeli kocham mego brata, kocham wszystkich moich braci, jeżeli kocham moje dziecko, kocham wszystkie moje dzieci; posuwam się nawet dalej i kocham wszystkie dzieci potrzebujące mojej pomocy. Przeciwnieństwem obu tych typów miłości jest miłość erotyczna; jest ona pragnieniem całkowitego połączenia się, zespolenia z drugim człowiekiem. Z samej swej natury jest wyłączna i niepowszechna; jest ona również może najbardziej zwodnicza spośród wszystkich form miłości.

Przed wszystkim często myli się ją z gwałtownym uczuciem „zakochania się”, nagłym opadnięciem barier istniejących do pewnej chwili między dwojgiem obcych sobie ludzi. Ale, jak wykazaliśmy uprzednio, to uczucie naglej zażyłości jest z samej swej natury krótkotrwałe. Kiedy obcy człowiek stał się kimś dobrze znanym, nie ma już bariery do przebycia i pozbawieni zostajemy przyjemności, jaką przynosi nagłe osiągnięcie bliskości. „Ukochaną” osobę zaczyna się znać tak dobrze, albo powiedzmy raczej-tak mało-jak siebie samego. Gdyby głębiej doznawało się istnienia drugiego człowieka, gdyby można było odczuć nieskończoność jego osobowości — nigdy by nie wydawał się tak znany i cud pokonywania barier mógłby powtarzać się każdego dnia od nowa. Ale większość szybko załatwia się z problemem zbadania swej własnej osoby, a także i innych, i uznaje sprawę za wyczerpaną. W ich odczuciu droga do zażyłości prowadzi głównie przez kontakt seksualny. Ponieważ wiedzą z własnego doświadczenia, że odosobnienie drugiego człowieka jest przede wszystkim odosobnieniem fizycznym, fizyczne zespolenie oznacza przewyciężenie tego odosobnienia.

Poza tym istnieją jeszcze inne czynniki, które dla wielu ludzi oznaczają możliwość przezwyciężenia osamotnienia. Rozmowy o swoim osobistym życiu, o swoich nadziejach i niepokojach, ukazywanie siebie od strony dziecinnej lub wręcz dziecięcej, odnajdywanie wspólnych zainteresowań - wszystko to uważa się za przezwycięzenie osamotnienia. Nawet okazywanie gniewu, nienawiści czy całkowitego braku hamulców traktuje się jako formy zażyłości; można tym tłumaczyć wypaczony pociąg, jaki często odczuwają wobec siebie pary małżeńskie, które wydają się sobie bliskie jedynie w łóżku albo wtedy, gdy dają upust swojej wzajemnej nienawiści czy wściekłości. Ale zażyłość przejawiająca się w takich formach zmierza do stopniowego zaniku w miarę upływu czasu. W rezultacie zaczyna się szukać miłości z kimś innym, z jakimś nowym obcym. Znowu obcy człowiek przekształca się w „bliską” osobę, znowu uczucie zakochania się jest podniecające i mocne - i znowu powoli, stopniowo zaczyna tracić tę intensywność i kończy się pragnieniem nowego podboju, nowej miłości. I niezmiennie towarzyszy temu złudzenie, że nowa miłość będzie inna niż poprzednie. Tworzenie się tych złudzeń w wysokim stopniu wspomaga zwodniczy charakter pożądania seksualnego.

Pożądanie seksualne *zmierza do* zespolenia; nie jest ono bynajmniej jedynie fizyczną *żądzą*, pozbyciem się bolesnego napięcia. Ale pożądanie seksualne może pobudzić niepokój wywołany samotnością, pragnienie, aby zdobyć lub zostać zdobytym, próżność, chęć zadania bólu, a nawet niszczenia — w takim samym stopniu, jak może je pobudzić miłość. Wydaje się, że pożądanie seksualne może stopić się z jakąkolwiek silną emocją lub być przez nią pobudzone, a miłość stanowi tylko jedną z ("j nich. Ponieważ większość ludzi łączy pożądanie seksualne z pojęciem l miłości, łatwo dochodzą do błędnego mniemania, że się kochają, kiedy 'požadają się fizycznie. Miłość może budzić pragnienie seksualnego zespolenia, a wtedy stosunek fizyczny pozbawiony jest łapczywości, pragnienia ujarzmienia kogoś lub chęci, aby samemu zostać ujarzmionym, przepojony jest natomiast czułością. Jeżeli to nie miłość pobudza pragnienie fizycznego zespolenia, jeżeli miłość fizyczna nie jest równocześnie miłością braterską, nigdy nie prowadzi do związku, który by nie miał charakteru orgiastycznego i nie był przemijający. Pociąg seksualny tworzy na krótko złudzenie związku, a jednak bez miłości „związek” ten pozostawia obcych równie daleko od siebie, jak byli przedtem - *zdarza się* niekiedy, że *zaczynają* się siebie wstydzić lub nawet nienawidzić; kiedy znikają złudzenia, dwoje ludzi *zaczyna* odczuwać wobec siebie chłód i obcość jeszcze wyraźniej niż uprzednio. Czułość nie jest bynajmniej, jak to utrzymywał Freud, sublimacją instynktu seksualnego; jest bezpośrednim wynikiem braterskiej miłości i istnieje zarówno w fizycznej, jak i w niefizycznej formie miłości.

W miłości erotycznej panuje wyłączność, której brak w miłości braterskiej i macierzyńskiej. Ten ekskluzywny charakter miłości erotycznej stanowi podstawę dalszych rozważań. Nierzadko ekskluzywność miłości erotycznej interpretuje się fałszywie jako przywiązanie oparte na chęci posiadania. Często można spotkać dwoje „zakochanych” w sobie ludzi, którzy poza tym nie kochają nikogo. Ich miłość jest w rzeczywistości egotyzmem *a deux*; są dwojgiem ludzi, utożsamiających się wzajemnie, którzy problem osamotnienia rozwiązują powiększając zasięg jednostki do dwóch osób. Czują, że udaje im się przezwyciężyć samotność, a jednak, wobec tego, iż są oddzieleni od reszty ludzkości, pozostają odseparowani jedno od drugiego i są dla siebie zupełnie obcy; zespolenie, jakie odczuwają, jest złudzeniem. Miłość erotyczna jest ekskluzywna, lecz kocha ona w drugim człowieku całą ludzkość, wszystko, co żywe. Jest ekskluzywna tylko w tym sensie, że pozwala zespolić się w pełni i mocno tylko z jednym człowiekiem. Miłość erotyczna wyklucza miłość w stosunku do innych ludzi tylko w sensie erotycznego związku, pełnego związania się we wszystkich aspektach życia - ale bynajmniej nie w sensie głębokiej miłości braterskiej.

Miłość erotyczna, jeżeli jest miłością, ma jedną przesłankę. Kocham z głębi mojej istoty - i przeżywam drugiego człowieka również do głębi jego lub jej istoty. A istota wszystkich ludzi jest identyczna. Wszyscy jesteśmy częścią Jedności; jesteśmy Jednością. Jeśli tak jest, nie powinno stanowić żadnej różnicy, kogo kochamy. Miłość powinna być zasadniczo aktem woli, decyzji całkowitego oddania życia życiu drugiego człowieka. Jest to w rzeczywistości rozumowe uzasadnienie idei nierozzerwalności małżeństwa i szeregu innych form tradycyjnego związku, w którym dwójka partnerów nigdy się nie wybiera wzajemnie, lecz zostają dla siebie wybrani - i mimo to oczekuje się od nich wzajemnej miłości. We współczesnej kulturze Zachodu zasada ta wydaje się zupełnie fałszywa. Miłość ma powstać w wyniku spontanicznej emocjonalnej reakcji - nagiego opanowania przez uczucie, któremu nie sposób się oprzeć. Z takiej perspektywy widzi się jedynie swoiste cechy dwóch zainteresowanych jednostek - a nie fakt, że wszyscy mężczyźni są częścią Adama, a wszystkie kobiety częścią Ewy. Nie dostrzega się w miłości erotycznej bardzo doniosłego czynnika, jakim jest wola. Kochanie kogoś to nie tylko sprawa silnego uczucia - to również decyzja, osąd, obietnica. Gdyby miłość była wyłącznie uczuciem, nie byłoby podstawy do obietnicy dożgonnej wzajemnej miłości. Uczucie przychodzi i może odejść. Skąd mogę wiedzieć, czy pozostanie ono na zawsze, skoro w mój akt nie jest włączony ani osąd, ani decyzja?

Biorąc pod uwagę te wszystkie poglądy, można by dojść do wniosku, że miłość jest wyłącznie aktem woli i oddania się i że dlatego rzeczą zasadniczo obojętną jest, kim są dwie kochające się osoby. Czy małżeństwo zostało zaaranżowane przez innych, czy było wynikiem

osobistego wyboru, jeśli zostało zawarte, akt woli powinien gwarantować trwałość miłości. Pogląd ten zdaje się nie uwzględniać paradoksalnego charakteru natury ludzkiej i miłości erotycznej. Wszyscy jesteśmy jednością - a jednak każdy z nas jest jedyną w swoim rodzaju, niepowtarzalną istotą. W naszych stosunkach z innymi ludźmi powtarza się ten sam paradoks. Ponieważ wszyscy jesteśmy jednością, możemy kochać w duchu miłości braterskiej każdego w taki sam sposób. Ale skoro równocześnie wszyscy różnimy się od siebie, miłość erotyczna wymaga pewnych swoistych, zupełnie indywidualnych czynników; mogą się one wytworzyć między pewnymi ludźmi, ale nie między wszystkimi.

Oba zatem poglądy, jeden, że miłość erotyczna jest całkowicie indywidualnym pociągami istniejącym wyłącznie pomiędzy dwojgiem ściśle określonych osób, zarówno jak i drugi, który przyjmuje, że miłość erotyczna jest niczym innym jak aktem woli - są prawdziwe - albo, jak można to wyrazić trafniej, prawda nie leży ani tu, ani tam. Tak więc pogląd, że wzajemny stosunek, jeśli nie znalazło się w nim szczęścia, można bez trudu rozwiązać, jest równie błędny jak pogląd, że nie można go rozwiązać w żadnych okolicznościach.

D. MIŁOŚĆ SAMEGO SIEBIE

Jak nie budzi żadnych zastrzeżeń pojęcie miłości skierowanej ku różnym obiektom, tak szeroko rozpowszechniony jest pogląd, że kochanie innych jest cnotą, natomiast miłość siebie samego jest grzeszna. Zakłada się, że o ile kocham siebie, o tyle nie kocham innych, że miłość własna jest tym samym co egoizm. W myśli zachodniej pogląd ten jest bardzo stary. Kalwin wyraża się o miłości siebie samego jako o „plądze”. Freud mówi o miłości własnej w kategoriach psychiatrycznych, niemniej ocenia ją tak samo jak Kalwin. Dla niego miłość własna jest tym samym co narcyzm, *libido* skierowanym ku samemu sobie. Narcyzm jest najwcześniejszym stadium rozwoju człowieka, a osobnik, który w późniejszym życiu powraca do tego narcystycznego stadium, nie jest zdolny do miłości; w przypadkach krańcowych jest człowiekiem obłąkanym. Freud twierdzi, że miłość jest ujawnieniem się *libido* i że *libido* albo zwraca się w kierunku innych ludzi - mamy wtedy do czynienia z miłością - albo też w kierunku własnym - i wtedy mówimy o miłości siebie samego. Miłość i miłość samego siebie wykluczają się wzajemnie w tym sensie, że im więcej jest pierwszej, tym mniej drugiej. Jeśli miłość samego siebie jest *rzeczą złą*, wynika z tego, że jej brak jest cnotą.

Powstaje kwestia, czy obserwacja psychologiczna potwierdza tezę o istnieniu zasadniczej sprzeczności między miłością samego siebie a miłością innych? Czy miłość własna jest tym samym co egoizm, czy też są to pojęcia przeciwstawne? Co więcej, czy egoizm dzisiejszego człowieka naprawdę jest zainteresowaniem się sobą samym jako jednostką z jej wszystkimi intelektualnymi, emocjonalnymi i zmysłowymi możliwościami? Czy człowiek nie stał się dodatkiem do swej socjo-ekonomicznej roli? Czy jego egoizm jest identyczny z miłością własną, czy też może jest wynikiem jej braku? Zanim zaczniemy się zastanawiać nad psychologicznym aspektem egoizmu i miłości własnej, powinno się podkreślić logiczny błąd tkwiący w mniemaniu, że miłość innych i miłość samego siebie wzajemnie się wykluczają. Jeżeli jest cnotą kochać mego sąsiada - jako ludzką istotę - musi być cnotą, a nie grzechem kochać samego siebie, jako że i ja jestem istotą ludzką. Nie ma takiego pojęcia człowieka, które by nie obejmowało również i mnie. Doktryna głosząca takie wyłączenie zawiera wewnętrzną sprzeczność. Myśl wyrażona w biblijnym nakazie: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego” zakłada, że poszanowania własnej integralności i niepowtarzalności, miłości i zrozumienia dla swego ja nie można oddzielić od poszanowania, miłości i zrozumienia innej istoty. Miłość własnego ja jest nierozzerwalnie związana z miłością każdego innego człowieka.

Dotarliśmy teraz do podstawowych przesłanek psychologicznych, na których zbudowane są wnioski naszego rozumowania. Ogólnie rzecz biorąc, przesłanki te są następujące: nie tylko inni ludzie, lecz i my sami jesteśmy obiektami naszych uczuć i postaw; postawy wobec innych i wobec nas samych nie tylko nie są sprzeczne, lecz są w sposób zasadniczy zespolone. W odniesieniu do omawianego problemu oznacza to, że miłość innych i miłość nas samych nie stanowi alternatywy wykluczających się możliwości. Wprost przeciwnie, nastawienie, by kochać siebie samego, występuje u wszystkich, którzy są zdolni kochać innych. Miłość w zasadzie jest niepodzielna w zakresie związku pomiędzy obiektami a czyimś własnym ja. Prawdziwa miłość jest wyrazem produktywności i zawiera w sobie troskę, poszanowanie, odpowiedzialność, poznanie. Nie jest „afektem” w sensie ulegania czyjemuś oddziaływaniu, lecz czynnym dążeniem do rozwoju i szczęścia osoby, którą się kocha, mającym swe źródło w zdolności kochania.

Kochać kogoś to uruchomić i skoncentrować siły miłości. Podstawowa afirmacja zawarta w miłości kieruje się ku ukochanej osobie stającej się wcieleniem najistotniejszych ludzkich cech. Miłość do jednego człowieka zakłada miłość do człowieka w ogóle. Rodzaj „podziału pracy” — jak to nazywa William James — przy którym ktoś kocha własną rodzinę, ale nie okazuje żadnych uczuć wobec „obcego” człowieka, jest dowodem generalnej niezdolności kochania.

Miłość do człowieka nie jest, jak się często przypuszcza, uogólnieniem miłości do określonej osoby, lecz stanowi jej przesłankę, chociaż genetycznie wywodzi się z miłości do określonych jednostek.

Wynika z tego, że moje własne ja musi być w równym stopniu co inny człowiek obiektem mojej miłości. A afirmacja życia, szczęście, rozwój i wolność mają swoje źródło we własnej zdolności kochania, to znaczy w trosce, szacunku, odpowiedzialności i poznaniu. Jeżeli człowiek potrafi kochać w sposób produktywny, kocha również samego siebie; jeżeli potrafi kochać tylko innych, nie potrafi kochać w ogóle.

Zakładając, że miłość samego siebie i innych w zasadzie się łączą, jak wyjaśnimy egoizm, który oczywiście wyklucza jakiekolwiek prawdziwe zainteresowanie bliźnim? Człowiek samolubny interesuje się wyłącznie sobą, chce mieć wszystko dla siebie, nie czuje żadnej przyjemności dając i potrafi tylko brać. Na świat zewnętrzny patrzy jedynie z punktu widzenia osobistych korzyści; nie obchodzą go potrzeby innych, nie okazuje poszanowania dla ich godności i integralności. Nie widzi poza sobą nikogo; ocenia każdego i wszystko pod kątem przydatności dla siebie samego, jest generalnie niezdolny do miłości. Czy nie dowodzi to, że zainteresowanie innymi i zainteresowanie sobą samym są nieuchronnie przeciwstawne? Byłoby tak, gdyby egoizm i miłość własna były tym samym. Lecz założenie takie jest akurat błędem, który doprowadził do tylu mylnych wniosków dotyczących naszego problemu. E g o i z m i m i o ś ć w ł a s n a n i e t y l k o n i e s ą t y m s a m y m , a l e s ą w r ę c z p r z e c i w s t a w n e . Egoista kocha siebie nie za wiele, ale za mało; w rzeczywistości nienawidzi siebie. Ten brak czułości i troski o siebie, który jest tylko jednym z przejawów braku produktywności, sprawia, że egoista czuje się pusty i zawiedziony. Nieuchronnie staje się nieszczęśliwy i gorączkowo usiłuje ciągnąć z życia zadowolenie, którego osiągnięcie sam sobie uniemożliwia. Wydaje się, że człowiek taki zbytnio dba o siebie, w rzeczywistości jednak dokonuje tylko bezowocnych prób, aby ukryć i jakoś zrekompensować niepowodzenia w pielęgnacji swojego prawdziwego ja. Freud utrzymuje, że egoista pełen jest samouwielbienia, jakby odwrócił swoją miłość od innych i skierował ją ku własnej osobie. P r a w d a , ż e e g o i ś c i n i e p o t r a f i ą k o c h a ć i n n y c h , a l e n i e p o t r a f i ą t e ż k o c h a ć s i e b i e s a m y c h .

Łatwiej jest zrozumieć egoizm porównując go z zachłannym zainteresowaniem się innymi, z czym spotykamy się na przykład u przesadnie troskliwej matki. Choć jest najgłębiej przekonana, że jest ogromnie czuła dla swojego dziecka, w istocie odczuwa głęboko ukrywaną wrogość wobec obiektu swego zainteresowania. Jej zainteresowanie jest przesadne nie dlatego,

że zbyt mocno kocha dziecko, ale dlatego, że musi rekompensować niemożność kochania w ogóle.

Ta teoria istoty egoizmu zrodziła się z psychoanalitycznych badań neurotycznego „braku egoizmu”, symptomu nerwicy spotykanego u niemałej ilości ludzi, którzy jednak nie cierpią zazwyczaj z powodu tego objawu, lecz innych z nim związanych, jak depresja, zmęczenie, niezdolność do pracy, zawody w sprawach miłosnych itp. Brak egoizmu nie tylko nie jest odczuwany jako symptom choroby; często jest on tą jedyną zbawczą cechą charakteru, którą tacy ludzie się chlubią. „Nieegoistyczny” człowiek „nie chce niczego dla siebie”, „żyje tylko dla innych”, jest dumny z tego, że nie uważa się za kogoś ważnego. Dziwi go bardzo, iż mimo że nie jest egoistą, jest nieszczęśliwy i że jego stosunki z najbliższymi nie układają się najlepiej. Badania wykazują, że brak egoizmu tego człowieka nie występuje obok innych symptomów choroby, lecz jest właśnie jednym z nich, i to często tym najważniejszym; że

on na paraliż zdolności kochania, radości z czegokolwiek; że jest pełen wrogości wobec życia i że poza fasadą „braku egoizmu” kryje się subtelny, niemniej jednak ostry egocentryzm.

Człowieka takiego można wyleczyć jedynie wtedy, jeżeli jego „brak egoizmu” również uzna się za jeden z symptomów chorobowych, łącznie z innymi, i wyciągnie się go z bezproduktywności, leżącej u podstaw zarówno jego „braku egoizmu”, jak i szeregu innych niedomagań.

Istota „braku egoizmu” przejawia się szczególnie wyraźnie w skutkach, jakie wywiera na otoczeniu; w naszej kulturze najczęściej we wpływie, jaki „nieegoistyczna” matka wywiera na swoje dzieci. Wierzy ona, że dzięki temu, iż jest pozbawiona egoizmu, jej dzieci odczuwają, co to znaczy być kochanym, i nauczą się z kolei, co to znaczy kochać. Jednakże skutek wywołany jej „brakiem egoizmu” w najmniejszym nawet stopniu nie odpowiada oczekiwaniom. Dzieci nie okazują szczęścia istot przekonanych, że się je kocha; są niespokojne, pełne napięcia, boją się wywołać niezadowolenie matki i starają się postępować tak, aby nie zawieść jej oczekiwań. Na ogół odbija się na nich ukrywana wrogość matki wobec życia, którą raczej wyczuwają, niż zdają sobie z niej jasno sprawę, i w końcu nasiąkają nią same. Ogółem biorąc, wpływ „nieegoistycznej” matki nie różni się wiele od wpływu matki egoistki, a w istocie jest on często gorszy, ponieważ jej „brak egoizmu” powstrzymuje dzieci od krytycznej oceny jej postępowania. Cięży na nich obowiązek, by nie sprawiać jej zawodu; pod płaszczykiem cnoty uczy się je niechęci do życia. Jeżeli ktoś ma okazję zaobserwować, jaki wpływ może wywierać matka, w której żyje prawdziwa miłość własna, zobaczy, że nie

skuteczniej nie wpaja dziecku pojęcia, czym jest miłość, radość i szczęście, jak to że jest kochane przez matkę, która kocha sama siebie.

Trudno o lepsze podsumowanie poglądów na temat miłości samego siebie jak słowa wypowiedziane na ten temat przez Mistrza Eckharta: „Jeżeli kochasz samego siebie, kochasz każdego tak, jak kochasz siebie. Jeśli kochasz innego człowieka mniej niż siebie samego, nie umiesz prawdziwie kochać siebie, jeżeli jednak kochasz wszystkich jednakowo, włączając w to i siebie, będziesz wszystkich kochał jak jedną osobę, a tą osobą jest zarówno Bóg, jak i człowiek. A zatem ten jest wspaniałym i prawym człowiekiem, kto kochając siebie, w ten sposób kocha wszystkich”.

E. MIŁOŚĆ BOGA

Stwierdzono powyżej, że podstawową przyczyną naszej potrzeby miłości jest uczucie osamotnienia i wynikające zeń pragnienie przewyciężenia niepokoju wywołanego tym osamotnieniem poprzez uczucie zespolenia. Religijna forma miłości, ta, która nazywa się miłością Boga, nie jest, używając terminów psychologicznych, niczym innym. I ona wypływa z potrzeby przewyciężenia samotności i osiągnięcia zespolenia. W rzeczywistości miłość Boga posiada tyle różnych właściwości i aspektów, ile ma ich miłość człowieka; odnajdujemy tu również w znacznej mierze podobne zróżnicowanie.

We wszystkich teistycznych religiach, obojętne, czy są one politeistyczne, czy monoteistyczne, Bóg reprezentuje wartość najwyższą, dobro najbardziej upragnione. Tak więc swoistość znaczenia Boga zależy od tego, co dla danego człowieka stanowi owo dobro najbardziej upragnione. Aby zrozumieć pojęcie Boga, należy rozpocząć od analizy struktury człowieka, który Boga wielbi.

Rozwój rodzaju ludzkiego na podstawie naszych o nim wiadomości można scharakteryzować jako uwalnianie się człowieka od natury, od matki, od więzów krwi i ziemi. W początkach historii ludzkiej człowiek, mimo że już pozbawiony pierwotnej jedności z naturą, ciągle jeszcze trzyma się kurczowo tych początkowych więzów. Powracając do nich czuje się bezpieczny. Wciąż jeszcze odczuwa swoją tożsamość ze światem zwierzęcym i roślinnym i próbuje odnaleźć tę jedność poprzez ścisły związek ze światem natury. Wiele prymitywnych wierzeń odzwierciedla to stadium rozwojowe. Zwierzę zostaje przekształcone w totem; podczas najbardziej uroczystych aktów religijnych albo na wojnach nosi się maski zwierzęce, czci się zwierzę jak Boga. W późniejszym stadium rozwoju, kiedy ludzka zręczność osiągnęła już poziom rzemieślniczy i artystyczny, kiedy człowiek przestaje być

wyłącznie zdany na dary natury — na owoc, który znajdzie, lub zwierzę, które zabije - człowiek przeobraża się w boga dzieła swoich rąk. Jest to okres oddawania czci bożkom wyrabianym z gliny, srebra lub złota. Człowiek przenosi swoje własne siły i umiejętności na przedmioty, jakie tworzy, i w tak wyalienowany sposób czci swoją dzielność, swoje dobra. W jeszcze późniejszym okresie człowiek nadaje swym bóstwom postać ludzką. Wydaje się, że mogło to nastąpić dopiero wówczas, gdy w jeszcze większym stopniu uświadomił sobie samego siebie, kiedy odkrył, że człowiek jest najwyższą i najczcigodniejszą „rzeczą” na świecie. W tej fazie czci antropomorficznego boga obserwujemy rozwój w dwóch zakresach. Jeden dotyczy kobiecej lub męskiej natury bogów, drugi stopnia dojrzałości, jaki człowiek osiągnął, określającego zarówno charakter jego bogów, jak i charakter miłości, jaką ku nim żywi.

Pomówmy najpierw o przejściu od religii, w której najważniejszą osobą jest matka, do religii koncentrującej się na ojcu. Zgodnie z wielkimi i przełomowymi odkryciami Bachofena i Morgana w połowie XIX wieku, mimo że ich poglądy odrzuciła większość kół akademickich, można prawie z całą pewnością stwierdzić, że w wielu kulturach patria-rcchalną fazę religii poprzedzała faza matriarchatu. W fazie tej najważniejszą postacią jest matka. Ona jest boginią, ona również sprawuje władzę w rodzinie i w społeczeństwie. Aby zrozumieć istotę religii opartej na matriarchacie, musimy sobie jedynie przypomnieć, co powiedziano wyżej o istocie miłości matczynej. Miłość matki nie jest niczym uwarunkowana, jest wszechopiekuńcza, wszechogarniająca; ponieważ miłość ta nie jest niczym uwarunkowana, nie można nią również kierować ani nie można jej zdobyć. Jej obecność daje ukochanej osobie poczucie błogości, brak wytwarza uczucie zagubienia i krańcowej rozpacz. Ponieważ matka kocha swoje dzieci dlatego, że są jej dziećmi, a nie dlatego, że są „dobre”, posłuszne czy że spełniają jej życzenia i rozkazy, miłość macierzyńska zasadza się na równości. Wszyscy ludzie są równi, ponieważ wszyscy są dziećmi matki, wszyscy są dziećmi Matki Ziemi.

Następne stadium ewolucji rodzaju ludzkiego, jedyne, o którym posiadamy gruntowną wiedzę i gdzie nie musimy opierać się na wnioskach i rekonstrukcjach, to faza patriarchatu. W okresie tym matka zostaje zdetronizowana ze swego najwyższego stanowiska. Najwyższą istotą staje się ojciec. Dzieje się tak zarówno w religii, jak i w społeczeństwie. Z natury miłości ojcowskiej wynika, że stawia ona pewne żądania, ustala zasady i prawa; miłość do syna zależy od jego podporządkowania się żądaniom ojca. Ojciec najbardziej lubi tego syna, który jest doń najbardziej podobny, tego, który mu okazuje najwięcej posłuszeństwa i który najlepiej się nadaje, aby stać się jego sukcesorem i odziedziczyć jego mienie. (Rozwój społeczeństwa patriarchalnego idzie w parze z rozwojem własności prywatnej). W następstwie tego

społeczeństwo patriarchalne staje się hierarchiczne; równość między braćmi ustępuje miejsca współzawodnictwu i wzajemnym walkom. Czy myślimy o kulturze hinduskiej, egipskiej lub greckiej, czy judeochrześcijańskiej lub muzułmańskiej, znajdujemy się w obrębie świata patriarchalnego, z jego męskimi bogami, nad którymi króluje jeden główny bóg lub z którego wyeliminowano wszystkich bogów z wyjątkiem Jedyne Boga. Skoro jednak z ludzkiego serca nie da się wykorzenić pragnienia miłości matki, trudno się dziwić, że postaci kochającej matki nigdy nie usunięto całkowicie z panteonu. W religii żydowskiej powracają macierzyńskie aspekty Boga, szczególnie w różnych prądach mistycyzmu. W religii katolickiej matkę symbolizuje Kościół i Matka Boska. Nawet protestantyzm nie usuwa całkowicie postaci Matki Boskiej, choć pozostaje tam ona w ukryciu. Luter przyjął naczelną zasadę, że nic, co człowiek czyni, nie może sprowadzić miłości Boga. Miłość Boga jest łaską, postawa religijna to wiara w tę łaskę, to stanie się małym i bezbronnym; żadne dobre uczynki nie mogą wpłynąć na Boga ani sprawić, by Bóg nas kochał - wbrew temu, co twierdzą doktryny katolickie. W katolickiej doktrynie na temat dobrych uczynków możemy rozpoznać elementy patriarchalizmu; mogę zdobyć miłość ojca, okazując mu posłuszeństwo i spełniając jego żądania. Natomiast doktryna luterńska, mimo bardzo wyraźnie patriarchalnego charakteru, zawiera w sobie ukryty element matriarchalny. Miłości matki nie można zdobyć; po prostu albo jest, albo jej nie ma; wszystko, co mogę zrobić, to wierzyć (jak mówi psalmista: „Aleś ty jest, któryś mnie wywiódł z żywota, czyniąc mi dobrą nadzieję jeszcze u piersi matki mojej”¹⁶) i przemienić się w bezradne, bezsilne dziecko. Cechą szczególną wiary luterńskiej jest to, że postać matki usunięto w niej z eksponowanego miejsca i zastąpiono postacią ojca; zamiast pewności, że się jest kochanym przez matkę, głęboko nurtująca człowieka wątpliwość i liczenie, wbrew wszelkim nadziejom, na niczym nie uwarunkowaną miłość ojca stanowi jej rys zasadniczy.

Musiałem omówić tę różnicę między matriarchalnym i patriarchalnym elementem w religii, aby wykazać, że charakter miłości Boga zależy od matriarchalnych i patriarchalnych aspektów w danej religii. Aspekt patriarchalny każe mi kochać Boga jak ojca; zakładam, że jest on sprawiedliwy i surowy, że karze i nagradza, i wreszcie że kiedyś wybierze mnie jako swego ulubionego syna, tak jak Bóg wybrał Abrahama Izraela, jak Izaak wybrał Jakuba, jak Bóg wybiera swój wybrany naród. W matriarchalnym aspekcie religii kocham Boga jak wszechobejmującą matkę. Wierzę w jej miłość, w to, iż mimo że jestem biedny i słaby, mimo że zgrzeszyłem, będzie mnie kochać, nie będzie wołała nade mnie żadnego spośród swoich dzieci; cokolwiek się ze mną stanie, pośpieszy mi z pomocą, ocali mnie i przebaczy. Nie trzeba podkreślać, że mojej miłości Boga i jego miłości ku mnie nie da się rozdzielić. Jeżeli

Bóg jest ojcem, kocha mnie jak syna, a ja kocham go jak ojca. Jeżeli Bóg jest matką, jej miłość i moja miłość determinuje fakt, że jest matką.

Różnica między macierzyńskim a ojcowskim aspektem miłości Boga stanowi mimo wszystko tylko jeden z czynników decydujących o istocie tej miłości; drugim jest stopień dojrzałości osiągnięty przez człowieka, a tym samym dojrzałość jego pojęcia Boga i jego miłość ku niemu.

Odkąd ewolucja rodzaju ludzkiego doprowadziła od matriarchalnej struktury społeczeństwa i religii do patriarchatu, możemy śledzić dojrzewanie miłości głównie w rozwoju religii patriarchalnej.¹⁷ W początkowym stadium tego rozwoju widzimy despotycznego, zazdrosnego Boga, który uważa stworzonego przez siebie człowieka za swoją własność i który sądzi, że ma prawo czynić z nim wszystko, co mu się podoba. Jest to faza religii, w której Bóg wypędza człowieka z raju, ażeby nie jadł z drzewa wiadomości dobrego i złego i nie mógł w ten sposób sam stać się Bogiem; jest to faza, w której Bóg postanawia wygubić rodzaj ludzki przez zesłanie potopu, ponieważ nikt z ludzi nie zadowala go z wyjątkiem ulubionego syna Noego; jest to faza, w której Bóg żąda od Abrahama, ażeby zabił swojego jedyne ukochanego syna Izaaka, by przez ten akt krańcowego posłuszeństwa wykazał swą miłość do Boga. Ale równocześnie rozpoczyna się nowa faza; Bóg zawiera z Noem przymierze, w którym przyrzeka, że nigdy nie wygubi rodzaju ludzkiego - jest to przymierze, którym on sam jest związany; związany nie tylko swoimi przyrzeczeniami, lecz również zasadą sprawiedliwości. Na tej podstawie Bóg musi ustąpić wobec żądania Abrahama, aby oszczędził Sodomę, jeżeli znajdzie się w niej choćby dziesięciu sprawiedliwych. Jednakże rozwój ten nie ogranicza się do przeistoczenia Boga z postaci despotycznego władcy szczepowego w kochającego ojca, w ojca, którego obowiązują prawa przez niego samego ustanowione; rozwój idzie w kierunku przeistoczenia Boga z postaci ojca w symbol jego zasad - sprawiedliwości, prawdy, miłości. Bóg jest prawdą, Bóg jest sprawiedliwością. W tym stadium rozwoju Bóg przestaje być osobą, człowiekiem, ojcem; staje się symbolem zasady jedności pod różnymi postaciami, wyobrażeniem kwiatu, który rozkwitnie w człowieku z nasienia duchowego. Bóg nie może mieć imienia. Imię zawsze określa rzecz lub osobę, coś ograniczonego, skończonego. Jak Bóg może mieć imię, jeżeli nie jest ani osobą, ani *rzeczą*?

Najbardziej uderzający epizod w tej przemianie zawarty jest w biblijnej historii objawienia się Boga Mojżeszowi. Kiedy Mojżesz oświadcza Bogu, że Hebrajczycy nie uwierzą mu, że został posłany przez Niego, póki nie będzie im mógł powiedzieć boskiego imienia (jak czciciele bożków mogliby pojąć bezimiennego boga, skoro najważniejszą cechą bożka jest

posiadanie imienia?). Bóg idzie na ustępstwo. Mówi Mojżeszowi: „Jam jest, którym jest” lub w innym przekładzie „Jam jest, którym się staję”. „Staję się” oznacza, że Bóg nie jest ograniczony, że nie jest ani osobą, ani „bytem”. Najbardziej adekwatny przekład tego zdania brzmiałby: powiedz im, że „imię moje jest bezimienne”. Zakaz tworzenia jakichkolwiek wizerunków Boga, wymawiania jego imienia nadaremno, a w końcu zakaz wymawiania go w ogóle, zmierza do tego samego celu, a mianowicie do uwolnienia człowieka od myśli, że Bóg jest ojcem, że jest osobą. W późniejszym rozwoju myśli teologicznej kwestia ta rozwinięta zostaje dalej w zasadę, że Bogu nie wolno nawet (') przyznawać jakiegokolwiek pozytywnego atrybutu. Mówienie o Bogu, 1^ że jest mądry, potężny, dobry - znowu wiąże się z pojęciem, że jest on osobą; wszystko, co mogę zrobić, to powiedzieć, czym Bóg nie jest, mogę ustalić negatywne atrybuty, mogę zakładać, że nie jest ograniczony, nie jest niedobry, nie jest niesprawiedliwy. Im lepiej wiem, czym Bóg nie jest, tym moja wiedza o Bogu jest większa.

Dojrzewająca idea monoteizmu w swoich dalszych następstwach może prowadzić do jednego tylko wniosku: nie należy w ogóle wymawiać imienia Boga, nie należy mówić o Bogu. Wówczas Bóg staje się tym, czym jest potencjalnie w teologii monoteistycznej - bezimiennym Jedynym, a nasze niewyraźne jąkanie się na jego temat odnosi się do jedności stanowiącej podstawę wszechświata zjawisk, podłoże wszelkiego istnienia; Bóg staje się prawdą, miłością, sprawiedliwością. Bóg jest mną, ponieważ jestem człowiekiem.

Jest zupełnie oczywiste, że ta ewolucja od antropomorficznej do czysto monoteistycznej zasady wywołała ogromną zmianę w naturze miłości Boga. Boga Abrahama można kochać, można się go bać jak ojca, jako że czasem dominuje u niego element gniewu, czasem przebaczenia. O ile Bóg jest ojcem, ja jestem dzieckiem. Nie wyzwoliłem się jeszcze w pełni z autystycznego pragnienia zdobycia wszechwiedzy i wszechmocy. Nie zdobyłem jeszcze dość obiektywizmu, aby zdać sobie sprawę z własnej ograniczoności jako istoty ludzkiej, z mojej ciemnoty, mojej bezsiły. Ciągłe, jak dziecko, domagam się ojca, który mnie ocali, który będzie nade mną czuwał, będzie mnie karał, ojca, który mnie lubi, gdy jestem posłuszny, któremu schlebia moje posłuszeństwo i którego gniewa moja krnąbrność. Nie ulega wątpliwości, że większość ludzi nie wyszła jeszcze w swoim rozwoju poza ten stan niemowlęstwa, i stąd wiara w Boga jest dla nich wiarą w spieszącego z pomocą ojca, dziecinny złudzeniem. Mimo że tego rodzaju pojęcie religii zostało przezwyciężone przez niektórych ludzi oraz przez wielkich nauczycieli ludzkości, wciąż jeszcze stanowi ono dominującą formę wierzeń.

W tym świetle krytyka idei Boga wyrażona przez Freuda jest zupełnie poprawna. Jego błąd polegał jednak na tym, że nie wziął pod uwagę innego aspektu religii monoteistycznej, stanowiącego jej najgłębszą treść, a prowadzącego logicznie wprost do negacji takiego pojęcia Boga. Człowiek prawdziwie religijny, jeżeli postępuje zgodnie z istotą idei monoteistycznej, nie modli się o nic, niczego od Boga nie oczekuje; kocha Boga inaczej niż dziecko kocha swego ojca lub matkę, człowiek taki ma tak pokorne poczucie własnej ograniczoności, że wie, iż nic nie wie o Bogu. Bóg staje się dla niego symbolem, w którym ludzkość we wcześniejszym stadium swej ewolucji zawarła sumę tego, do czego dąży, staje się królestwem świata ducha, miłością, prawdą i sprawiedliwością. Człowiek taki wyznaje zasady, które Bóg reprezentuje, myśli zgodnie z zasadami prawdy, żyje zgodnie z zasadami miłości i sprawiedliwości i uważa, że całe jego życie posiada wartość jedynie o tyle, o ile daje mu ono szansę coraz pełniejszego rozwijania swych ludzkich możliwości jako jedynej rzeczywistości, która się liczy, jako jedynego przedmiotu „bezw warunkowego zaangażowania”; wreszcie — nie mówi on o Bogu, nie wspomina nawet jego imienia. Kochać Boga, gdyby miał już użyć tego określenia, oznaczałoby wówczas dążyć do pełnej zdolności kochania, do realizacji tego, co Bóg reprezentuje sam w sobie.

Z tego punktu widzenia logiczną konsekwencją monoteistycznej myśli jest negacja całej teologii, całej „wiedzy o Bogu”. Jednakże taki radykalny nieteologiczny pogląd różni się od nieteistycznego systemu, co widać na przykładzie wczesnego buddyzmu czy taoizmu.

We wszystkich taoistycznych systemach, nawet nieteologicznych, zakłada się realność istnienia dziedziny ducha, dziedziny górującej nad człowiekiem, nadającej sens i ważkość duchowym siłom człowieka i jego dążeniu do zbawienia i wewnętrznego narodzenia. W systemie nie-teistycznym natomiast sfera ducha nie istnieje ani poza człowiekiem, ani nad nim. Sfera miłości, rozumu i sprawiedliwości istnieje jako coś rzeczywistego jedynie dlatego i tylko o tyle, o ile człowiek potrafił rozwinąć w sobie te siły w procesie swojej ewolucji. Zgodnie z tym poglądem życie ma jedynie takie znaczenie, jakie nadaje mu sam człowiek; człowiek jest całkowicie samotny, a przewycięża tę samotność tylko o tyle, o ile pomaga drugiemu człowiekowi.

Ponieważ mówiłem o miłości Boga, chciałbym wyjaśnić, że osobiście nie rozumię kategoriami pojęć teistycznych i że dla mnie pojęcie Boga jest pojęciem uwarunkowanym jedynie historycznie, pojęciem, w którym człowiek wyraził w danym historycznym okresie wiarę w swoje rosnące siły, tęsknotę za prawdą, za zespoleniem. Lecz wierzę również, że konsekwencje ścisłego monoteizmu i nieteistycznego bezwarunkowego zaangażowania w

duchową rzeczywistość to dwa poglądy, które, aczkolwiek różne, nie muszą się wzajemnie zwalczać.

W tym momencie zjawia się jednak inny wymiar problemu miłości Boga, który należy omówić, aby przedstawić jego złożoność. Mam tu na myśli podstawową różnicę stanowisk Wschodu (Chiny i Indie) i Zachodu wobec religii; różnicę tę można wyrazić w kategoriach logicznych. Od czasów Arystotelesa cały świat zachodni stosuje logiczne zasady jego filozofii. Logika ta opiera się na prawie identyczności, które twierdzi, że A jest A, na prawie zaprzeczenia (A nie jest nie A) oraz na prawie wykluczonego środka (A nie może być A oraz nie A; ani A, ani nie A). Arystoteles wyjaśnia swoje stanowisko w następującym zdaniu: „Jest niemożliwe, aby ta sama rzecz w tym samym czasie należała i nie należała do tej samej rzeczy w tym samym zakresie; jakiegokolwiek byśmy dali inne rozróżnienia, aby stawić czoło zarzutom dialektyki, niczego one nie zmieniają. Tak oto jest to najpewniejsza ze wszystkich zasad...”

Ten aksjomat logiki arystotelesowskiej tak głęboko przepoił nasz sposób myślenia, że uważa się go za naturalny i oczywisty, podczas gdy z drugiej strony twierdzenie, że X jest A i nie A, wydaje się nonsensem. (Oczywiście twierdzenie to odnosi się do podmiotu X w danym czasie, nie do X w chwili obecnej i do X w czasie przyszłym albo też do jednego aspektu X przeciwstawionemu innemu aspektowi).

Przeciwieństwem logiki arystotelesowskiej jest - jak by ją można było określić - logika paradoksalna, która zakłada, że A i nie A nie wykluczają się wzajemnie jako orzeczniki X. Logika paradoksalna rządziła chińskim i hinduskim sposobem myślenia, zawarta była w filozofii Heraklita, a potem znowu, pod nazwą dialektyki, stała się filozofią Hegla i Marksa. Naczelną zasadę logiki paradoksalnej jasno opisał Laotsy: „Słowa, które są całkowicie prawdziwe, wydają się paradoksem”. A Czuangtsy powiedział: „To, co jest jednym, jest jednym. To, co nie jest jednym, jest także jednym”. Pozytywną formułą logiki paradoksalnej jest: „To j e s t i z a r a z e m t e g o n i e m a”. Inne sformułowanie jest negatywne: „To n i e j e s t a n i t y m , a n i t a m t y m”. Ten pierwszy schemat znajdujemy w myśli taoistycznej, u Heraklita, a także w dialektyce heglowskiej; natomiast sformułowanie drugie często występuje w filozofii hinduskiej.

Chociaż szczegółowy opis różnic między logiką arystotelesowską a paradoksalną wykraczałby poza ramy niniejszej książki, przytoczę jednak kilka przykładów, aby wyjaśnić dokładniej tę zasadę. W myśli zachodniej logika paradoksalna znalazła swój najwcześniejszy wyraz w filozofii Heraklita. Zakłada on, że konflikt przeciwieństw jest podstawą wszelkiego istnienia. „Nie rozumiem mówi jak to, co jest rozbieżne, zbiega się w sobie. Jest to zgodność

rozbieżnych dążeń, jak w łuku i lirze". Albo jeszcze jaśniej: „W te same fale wstępujemy i nie wstępujemy, jesteśmy sobą i nie jesteśmy." Albo: „Tym samym jest w nas życie i śmierć, czuwanie i sen, młodość i starość."

Filozofia Laotsego wyraża tę samą myśl w bardziej poetyckiej formie. Charakterystycznym przykładem taoistycznego paradoksalnego systemu myślenia jest następujące stwierdzenie: „Ciężkość jest źródłem lekkości; bezruch jest władcą ruchu". Albo: „Tao w swym uporządkowanym bycie nie robi nic i nie ma niczego, czego by nie robił". Albo: „Moje słowa można bardzo łatwo zrozumieć i bardzo łatwo wprowadzić w życie; ale na całym świecie nie ma nikogo, kto by mógł je i zrozumieć, i wprowadzić w życie."²⁶ W taoistycznym sposobie myślenia, tak jak w sposobie myślenia Hindusów i Sokratesa, szczytem, który myśl może osiągnąć, jest wiedza o własnej niewiedzy.

„Wiedzieć, a jednak myśleć, że nie wiemy, jest najwyższym osiągnięciem; nie wiedzieć, a jednak myśleć, że wiemy, jest chorobą." To, że nie należy wymieniać imienia najwyższego Boga, jest jedynie konsekwencją tej filozofii. Najwyższej rzeczywistości, najwyższej Istoty nie można uchwycić ani w słowach, ani w myślach. Laotsy ujmuje to następująco: „Tao, które można gnębić, nie jest trwałym i niezmiennym Tao. Imię, które można wypowiedzieć, nie jest trwałym i niezmiennym imieniem." Albo inne sformułowanie: „Patrzemy na to i nie widzimy tego - i nazywamy to Jednakim. Słuchamy tego i nie słyszymy tego - i nazywamy to Niesłyszalnym. Próbuje to pochwycić i nie udaje się nam - i nazywamy to Nieuchwytnym. Mając te trzy właściwości nie daje się to opisać, dlatego łączymy je *razem* i uzyskujemy *Jedno*."²⁹ I jeszcze jedno sformułowanie tej samej myśli: „Temu, kto zna Tao, nie *zależy* na tym, by o nim mówić; ten, kto jest w jakikolwiek sposób gotów mówić o tym, nie zna tego."

Braministyczna filozofia interesowała się wzajemną zależnością pomiędzy różnorodnością (zjawisk) a jednością. Ale paradoksalnej filozofii nie należy mieszać ani w Indiach, ani w Chinach z dualistycznym punktem widzenia. Harmonia (jedność) polega na zetknięciu się sprzeczności, z których jest zbudowana. „Bramińska myśl koncentrowała się od samego początku wokół paradoksu równoczesnych sprzeczności - a mimo to - tożsamości, ujawniających się sił i form świata zjawisk..."³¹ Najwyższa siła we wszechświecie, tak samo jak w człowieku, wykracza zarówno poza sferę pojęć, jak i zmysłów. Dlatego zatem nie jest „ani tym, ani tamtym". Ale, jak zauważa Zimmer: „Nie ma sprzeczności pomiędzy tym, co rzeczywiste i nierzeczywiste, w tym ściśle niedualistycznym pojmowaniu."³² W swoim poszukiwaniu jedności kryjącej się za różnorodnością myśliciele bramińscy doszli do wniosku, że dostrzeżona para sprzeczności odzwierciedla nie naturę rzeczy, lecz naturę percypującego umysłu. Myśl percypująca, jeżeli ma ogarnąć prawdziwą rzeczywistość, musi wyjść poza samą

siebie. Sprzeczność jest kategorią umysłu człowieka, a nie samoistnym elementem rzeczywistości. W *Rigwedzie* zasada ta wyrażona jest w takiej formie: „Jestem obojgiem, siłą życiową i materią życia, obojgiem w jedności”. Skrajna konsekwencja poglądu, że myśl może ujmować rzeczywistość jedynie w sprzecznościach, znalazła jeszcze bardziej drastyczne przedłużenie w filozofii Wedanty, która zakłada, że myśl, we wszystkich jej delikatnych odcieniach, jest „jedynie podstępny zakres niewiedzy, w rzeczywistości najbardziej podstępnym spośród wszystkich zwodniczych konceptów *mali*”.³⁴ Logika paradoksalna ma bardzo doniosły związek z pojęciem Boga. O ile Bóg reprezentuje ostateczną rzeczywistość, o ile rozum ludzki percypuje rzeczywistość w sprzecznościach, nie można nic orzec o Bogu. Wedanta uznaje ideę wszytkowiedzącego i wszechmocnego Boga za formę najwyższej ignorancji.³⁴ Widzimy tu związek z bezimiennością Tao, z bezimiennym imieniem Boga, który objawia się Mojżeszowi, z „Absolutną Nicością” Mistrza Eckharta. Człowiek może znać jedynie negatywną, nigdy zaś pozytywną stronę najwyższej rzeczywistości. „Tymczasem człowiek nie może wiedzieć, czym Bóg jest, nawet gdyby zupełnie dobrze uświadomił sobie, czym Bóg nie jest... Tak oto rozum walczący z niczym głośno domaga się istnienia najwyższego dobra.”³⁷ Dla Mistrza Eckharta „Boska Istota jest negacją negacji i zaprzeczeniem zaprzeczeń... Każde stworzenie zawiera negację: *zaprzecza* sobą, że nie jest niczym innym.”³⁶ Bóg w konsekwencji staje się dla Mistrza Eckharta „Absolutną Nicością”, tak jak w Kabale najwyższą rzeczywistością jest „En Sof” - Istota Nieskończona. Rozważałem różnicę między logiką arystotelesowską a paradoksalną, aby przygotować grunt do ważnego rozróżnienia pewnych elementów w pojęciu miłości Boga. Nauczyciele logiki paradoksalnej powiadają, że człowiek może percypować rzeczywistość jedynie w sprzecznościach, nigdy natomiast nie może myślą ogarnąć najwyższej rzeczywistości, która stanowi jedność. Prowadziło to w konsekwencji do rezygnacji z poszukiwania odpowiedzi na drodze myślowej. Myśl może nam jedynie dostarczyć wiedzy o tym, że jest bezsilna w udzieleniu ostatecznej odpowiedzi. Świat myśli wikła się w paradoks. Jedyny sposób, w jaki można ostatecznie uchwycić świat, leży nie w myśli, lecz w akcie doznania jedności. Tak więc logika paradoksalna prowadzi do wniosku, że miłość Boga nie jest ani poznaniem Boga myślą, ani myślą o miłości do Boga, lecz aktem odczucia jedności z Bogiem.

Prowadzi to do podkreślenia wagi odpowiedniego sposobu życia. Wszystko w życiu, każda błaha i każda ważka czynność poświęcona jest poznaniu Boga, ale poznaniu nie słuszną myślą, lecz słusznym działaniem. Zarówno w braminizmie, jak w buddyzmie czy taoizmie ostatecznym celem religii nie jest właściwa wiara, lecz właściwe działanie. Znajdujemy podkreślenie wagi tego również w religii żydowskiej. Tradycja żydowska nie знаła nawet schizmy wobec

wiary (jedyny wielki wyjątek to różnice między faryzeuszami a saduceuszami, które w swej istocie wywodziły się ze sporu dwóch antagonistycznych klas społecznych). W religii żydowskiej (zwłaszcza po rozpoczęciu naszej ery) przywiązywano wielką wagę do właściwego sposobu życia, i na tym właśnie koncentrowała się *halacha* (słowo to w istocie znaczy to samo co Tao).

W historii nowożytnej ta sama zasada wyrażona jest w myślach Spinozy, Marksa i Freuda. W filozofii Spinozy punkt ciężkości przesunięty jest z właściwej wiary na właściwy tryb życia. Marks głosił tę samą zasadę, kiedy mówił: „Filozofowie jedynie różnymi sposobami objaśniali świat, chodzi jednak o to, aby go zmienić”. Paradoksalna logika Freuda prowadzi go do rozwoju psychoanalitycznej terapii, coraz bardziej pogłębiającego się odczuwania samego siebie.

Z punktu widzenia logiki paradoksalnej cały ciężar spoczywa nie na myśli, lecz na działaniu. Z takim stanowiskiem wiąże się wiele konsekwencji. Przede wszystkim prowadzi ono do tolerancji, z jaką spotykamy się w religiach hinduskich i chińskich. Jeżeli właściwe myślenie nie jest

ostateczną drogą do prawdy ani do zbawienia, nie ma powodu, aby zwalczać tych, których myślenie doprowadziło do innych sformułowań. Tolerancję tę pięknie wyraża historia o ludziach, od których zażądano, aby w ciemności opisali słonia. Jeden z nich, dotykając trąby, powiedział: „to zwierzę jest podobne do rury wodnej”; drugi, dotykając jego ucha, powiedział: „to zwierzę podobne jest do wachlarza”; trzeci, dotykając jego nóg, opisał słonia jako kolumnę.

Po drugie, paradoksalny punkt widzenia prowadzi do przywiązywania większej wagi do przekształcenia człowieka niż do rozwoju dogmatów z jednej strony, a nauki z drugiej. Z punktu widzenia hinduskiego, chińskiego! mistycznego zadaniem, jakie stawia przed człowiekiem religia, nie jest słuszne myślenie, lecz także słuszne działanie lub zespolenie się z Jednością w akcie kontemplacji.

Główny nurt filozofii zachodniej wynika z wręcz przeciwnego stanowiska. Ponieważ poszukiwano tu ostatecznych prawd na drodze poprawnego toku myślenia, przywiązywano większą wagę do myśli, chociaż uznawano również znaczenie należytego działania. W rozwoju religii prowadziło to do tworzenia dogmatów i nie kończących się sporów na temat dogmatycznych sformułowań, jak również do nietolerancji wobec „niewierzącego” lub heretyka. W konsekwencji nadawano również szczególne znaczenie „wierze w Boga” jako głównemu celowi postawy religijnej. Nie oznacza to oczywiście, że nie uważano, iż należy

żyć we właściwy sposób. Niemniej jednak człowiek, który wierzył w Boga -nawet jeżeli nie żył po bożemu - czuł się lepszy od tego, kto wprawdzie żył po bożemu, ale „nie wierzył”.

Przywiązywanie wagi do myśli miało również inne, historycznie bardzo doniosłe następstwo. Idea, że prawdę można odnaleźć w myśli, prowadziła nie tylko do dogmatu, ale i do nauki. W myśli naukowej liczy się jedynie poprawne rozumowanie, zarówno w aspekcie intelektualnej uczciwości, jak w aspekcie zastosowania myśli naukowej w praktyce, czyli w technice.

Krótko mówiąc, logika paradoksalna prowadziła do tolerancji i wysiłku zmierzającego do przekształcenia samego siebie. Natomiast arystotelesowski punkt widzenia prowadził do dogmatu i nauki, do Kościoła katolickiego i odkrycia energii atomowej.

Konsekwencje, jakie miały dla problemu miłości Boga różnice między wyżej wymienionymi punktami widzenia, zostały już wyraźnie wyjaśnione i należy je teraz tylko krótko podsumować.

W dominującym na Zachodzie systemie religijnym miłość Boga jest w zasadzie równoznaczna z wiarą w Boga, w istnienie Boga, boską sprawiedliwość i boską miłość. Miłość Boga jest zasadniczo doznaniem intelektualnym. W religiach Wschodu i w mistycyzmie miłość Boga jest silnym uczuciem doznania jedności, nierozłącznie związanym z wyrażaniem tej miłości w każdym przejawie życia. Najbardziej radykalne sformułowanie tego celu podał Mistrz Eckhart: „Jeżeli zatem zmieniłem się w Boga i jeżeli On czyni mnie jednością z Sobą, to wówczas gdy żyję według Jego wskazań, nie ma między nami różnicy... Niektórzy ludzie wyobrażają sobie, że zobaczą Boga tak, jakby On stał tu, a oni tam. ale tak się nie stanie. Bóg i ja jesteśmy jednością. Poznając Boga przyjmuję Go do siebie. Kochając Boga przenikam Go”.

Obecnie możemy wrócić do ważnej paraleli między miłością do rodziców a miłością do Boga. Dziecko zaczyna życie od przywiązania do matki jako „podstawy wszelkiego istnienia”. Czuje się bezradne i potrzebuje jej wszechogarniającej miłości. Potem zwraca się ku ojcu, ku nowemu ośrodkowi uczuć, gdyż ojciec staje się przewodnim czynnikiem jego myśli i działania; na tym etapie dziecko powoduje się potrzebą zdobycia pochwały ojca i chęcią uniknięcia jego niezadowolenia. W okresie pełnej dojrzałości człowiek uwalnia się od osoby matki i ojca jako sił opiekuńczych i wydających rozkazy; wyrobił już w sobie ojcowskie i matczyne zasady. Stał się swoim własnym ojcem i matką. W historii rodzaju ludzkiego widzimy i możemy przewidywać taki sam rozwój wydarzeń: od początkowej miłości Boga, przejawiającej się jako bezradne przywiązanie do Bogini - Matki, poprzez pełne posłuszeństwa przywiązanie do ojcowskiego Boga, do stadium dojrzałości, kiedy Bóg

przestaje być jakąś zewnętrzną potęgą, kiedy człowiek przyswoił sobie już elementy miłości i sprawiedliwości, kiedy zjednoczył się z Bogiem i wreszcie doszedł do momentu, w którym odważa się mówić o Bogu jedynie w poetyckim, symbolicznym sensie.

Z rozważań tych wynika, że miłości Boga nie da się rozdzielić od miłości własnych rodziców. Jeżeli dany człowiek nie wyzwoli się kazirodczego przywiązania do matki, klanu, narodu, jeżeli *zatrzyma* dziecięcą zależność od karzącego i nagradzającego ojca lub jakiegokolwiek Meiner Eckhart, innego autorytetu, nie potrafi rozwinąć w sobie dojrzałej miłości Boga; wówczas jego religia staje się taka, jaką była we wcześniejszym okresie, w którym Boga przeżywano jako udzielającą wszystkim opieki matkę lub karzącego czy nagradzającego ojca.

W religii współczesnej odnajdujemy wszystkie fazy, zaczynając od najwcześniejszego i najbardziej prymitywnego stadium, do najwyższego, tego, w jakim znajdujemy się dzisiaj. Słowo „Bóg” oznacza zarówno wodza szczepu, jak i „Absolutną Nicość”. W ten sam sposób człowiek przechowuje w sobie, w podświadomości, jak to wykazał Freud, wszystkie stadia rozwojowe, poczynając od bezradnego niemowlęstwa. Problemem jest jedynie to, do jakiego stadium dany człowiek dorósł. Jedno jest pewne: sposób miłości Boga odpowiada jego sposobowi miłości człowieka; co więcej, często nie uświadamia on sobie prawdziwego charakteru swojej miłości do Boga i człowieka - charakteru ukrytego i zracjonalizowanego przez dojrzałą myśl o tym, czym jest miłość. Poza tym okazuje się przy głębszej analizie, że miłość człowieka, chociaż bezpośrednio osadzona w jego stosunkach z własną rodziną, jest określona przez strukturę społeczeństwa, w którym dany człowiek żyje. Jeżeli struktura społeczna jest taka, że podporządkowuje się władzy - władzy jawnej lub anonimowej, władzy rynku czy opinii publicznej - pojęcie Boga musi być infantylne i dalekie od dojrzałego wyobrażenia, jakiego załączki można odnaleźć w historii religii monoteistycznej.

III. Miłość i jej rozbicie we współczesnym społeczeństwie zachodnim

Jeżeli miłość jest zdolnością dojrzałego, produktywnego charakteru, wynika z tego, że zdolność do miłości jednostki, która żyje w określonej kulturze, zależy od wpływu, jaki kultura ta wywiera na charakter przeciętnego człowieka. Jeżeli mówimy o miłości we współczesnej zachodniej kulturze, nasuwa się pytanie, czy społeczna struktura zachodniej cywilizacji i wypływający z niej duch sprzyjał rozwojowi miłości. Jeśli się postawiło takie

pytanie, trzeba odpowiedzieć na nie przecząco. *Żaden* bezstronny obserwator naszego życia na Zachodzie nie może wątpić, że miłość braterska, macierzyńska czy erotyczna-jest zjawiskiem stosunkowo rzadkim i że jej miejsce zajmują formy pseudomiłości, które w istocie są jedynie formami jej rozbicia.

Społeczeństwo kapitalistyczne z jednej strony opiera się na zasadzie wolności politycznej, z drugiej na rynku jako czynniku regulującym wszystkie ekonomiczne, a zatem i społeczne stosunki. Rynek towarowy określa warunki, według których wymienia się towary, natomiast rynek pracy reguluje nabywanie i sprzedaż pracy. Zarówno przedmioty użytkowe, jak użytkowa energia ludzka i zdolność człowieka przekształcane są w towar i wymieniane bez użycia siły, bez oszustwa, zgodnie z prawami rządzącymi rynkiem. Buty, mimo że są rzeczą użyteczną i potrzebną, nie mają wartości ekonomicznej (wartości wymiennej), jeżeli brak na nie zapotrzebowania na rynku: ludzka energia i zręczność nie posiadają wartości wymiennej, jeśli w istniejących warunkach rynkowych nie ma na nie zapotrzebowania. Właściciel kapitału może kupić pracę i kierować nią tak, aby kapitał, jaki zainwestował, przynosił zyski. Natomiast właściciel pracy, jeżeli nie chce głodować, musi sprzedawać ją kapitalistom na warunkach rynkowych. Tę strukturę ekonomiczną odzwierciedla hierarchia wartości. Kapitał panuje przed pracą; nagromadzone przedmioty, to, co martwe, ma wyższą wartość niż praca, niż siły ludzkie, czyli to, co żywe.

Taka była podstawowa struktura kapitalizmu od samego początku. Lecz chociaż zasady te w dalszym ciągu stanowią cechę charakterystyczną współczesnego kapitalizmu, to jednak sporo czynników uległo zmianie, nadając mu nowe właściwości i wywierając bardzo silny wpływ na charakter struktury dzisiejszego człowieka. W rezultacie rozwoju kapitalizmu obserwujemy bezustannie wzrastający proces centralizacji i koncentracji kapitału. Wielkie przedsiębiorstwa ustawicznie rosną, mniejsze są wypierane. Posiadanie kapitału zainwestowanego w przedsiębiorstwach coraz bardziej oddziela się od funkcji zarządzania. „Właścicielami” przedsiębiorstwa są setki tysięcy akcjonariuszy; kieruje nim dobrze opłacany aparat urzędniczy, który nie będąc właścicielem przedsiębiorstwa, jedynie nim zarządza. Znacznie bardziej interesuje go rozwój przedsiębiorstwa i swojej własnej siły niż wygospodarowywanie maksymalnych zysków. Zwiększająca się koncentracja kapitału i wyłonienie się potężnej zarządzającej biurokracji idzie w parze z rozwojem ruchu robotniczego. Dzięki ujęciu w formy organizacyjne, pojedynczy robotnik nie musi sam w swoim imieniu dokonywać żadnych transakcji na rynku pracy; jest zrzeszony w wielkich związkach zawodowych, również kierowanych przez potężny aparat, który reprezentuje go wobec przemysłowych gigantów. Zarówno na odcinku kapitału, jak i pracy, inicjatywa przesunęła się - z korzyścią lub ze

szkodą - z jednostki na biurokrację. Coraz więcej ludzi traci swoją niezależność i zaczyna podlegać tym, którzy zarządzają wielkimi potęgami gospodarczymi.

Inny decydujący rys wynikający z tej koncentracji kapitału, tak bardzo charakterystyczny dla dzisiejszego kapitalizmu, to specyficzny sposób organizacji pracy. Olbrzymia centralizacja przedsiębiorstwa, z daleko posuniętą specjalizacją, doprowadziła do takiej organizacji pracy, przy której jednostka zatracą swą indywidualność, stając się łatwo wymiennym kółeczkiem wielkiej maszyny. Zagadnienie człowieka w nowoczesnym kapitalizmie można sformułować następująco:

Współczesny kapitalizm potrzebuje ludzi, którzy zapewnią mu sprawną i masową współpracę; ludzi pragnących coraz więcej konsumować; których upodobania są zestandaryzowane, dają się łatwo przewidywać i kształtować. Potrzebuje ludzi, którzy czują się wolni i niezależni, nie kierują się żadnym autorytetem, zasadą czy sumieniem - a jednak chcą, aby im rozkazywano, chcą wykonywać to, czego się od nich oczekuje, chcą dopasować się bez żadnych tarć do społecznej maszyny; ludzi, którymi można kierować bez użycia siły, prowadzić bez przywódców, przynaglać bez wskazywania celu - poza tym jednym, aby prosperowali, ciągle byli w ruchu, działali, szli naprzód.

Co z tego wynika? Nowoczesny człowiek wyobcowuje się od siebie, od swoich bliźnich, od natury.¹ Został przekształcony w towar, traktuje swoje siły żywotne jako inwestycję, która musi mu przynieść maksymalny zysk możliwy do osiągnięcia przy istniejących warunkach rynkowych. Stosunki, jakie łączą ludzi, są w zasadzie stosunkami wyobcowanych automatów, przy czym każdy opiera swoje bezpieczeństwo na trzymaniu się blisko stada i na niewyróżnianiu się od innych w myśli, uczuciach czy działaniu. Chociaż każdy usiłuje trzymać się możliwie jak najbliżej innych, pozostaje jednak zupełnie samotny, przepełniony głębokim uczuciem niepewności, niepokoju i winy, co występuje zawsze, gdy człowiekowi nie udaje się przezwyciężyć osamotnienia. Nasza cywilizacja oferuje wiele paliatywów, które pomagają ludziom nie uświadamiać sobie własnej samotności: na pierwsze miejsce wysuwa się ścisła rutyna zbiurokratyzowanej, zmechanizowanej pracy, która pomaga nie dopuszczać do głosu nawet najbardziej podstawowych ludzkich pragnień, tęsknoty za wyjściem poza samego siebie i za zespoleniem. Jeśli nie wystarcza tu sama rutyna pracy, człowiek pokonuje swoją nie uświadomioną rozpacz przy pomocy rutyny rozrywek, biernego konsumowania dźwięków i obrazów, jakie stawia mu do dyspozycji przemysł rozrywkowy; następnie przez zadowolenie, jakiego mu dostarcza nabywanie wciąż nowych rzeczy i szybkie wymienianie ich na inne. Dzisiejszy człowiek jest naprawdę bliski obrazu, jaki nakreślił Huxley w swym *Nowym wspaniałym świecie*: dobrze odżywiony, dobrze ubrany, zaspokojony seksualnie, a jednak nie

posiadający swego ja, bez żadnych, prócz bardzo powierzchownych, kontaktów z blźniami, człowiek, którego opisać można sformułowanymi przez Husleya sloganami: „Kiedy jednostka czuje, społeczeństwo bzikuje”; albo „Nigdy nie odkładaj do jutra przyjemności, którą możesz mieć dzisiaj”, i wreszcie jako szczytowe hasło: „Każdy w dzisiejszych czasach jest szczęśliwy”. Szczęście człowieka polega dzisiaj na „zabawieniu się”. Zabawić się to zaspokoić użyciem i „spożyciem” przeróżnych dóbr. Pochłania się wszystko: widowiska, jedzenie, napoje, papierosy, ludzi, odczyty, książki, filmy. Świat jest jednym wielkim przedmiotem naszego łaknienia, wielkim jabłkiem, pełną butelką, wielką piersią; my jesteśmy tymi, którzy ssą, wiecznie na coś czekają, mają na coś nadzieję — i wiecznie są z czegoś niezadowoleni. Nasza natura została nastawiona na wymienianie i otrzymywanie, na handel i konsumowanie; wszystko, i to w równej mierze dobra duchowe jak i materialne, staje się przedmiotem wymiany i konsumpcji.

Jeśli chodzi o sprawę miłości, sytuacja siłą rzeczy odpowiada temu społecznemu charakterowi dzisiejszego człowieka. Automaty nie mogą kochać; mogą tylko wymieniać między sobą swoje „osobowe pakiety” w przekonaniu, że transakcja będzie uczciwa. Jednym z najbardziej doniosłych przejawów miłości, a zwłaszcza małżeństwa w tej wyobcowanej strukturze, jest pojęcie „zespołu”. W wielu pracach na temat szczęśliwego małżeństwa opisuje się je jako idealnie funkcjonujący zespół. Opis ten niewiele się różni od pojęcia sprawnie funkcjonującego pracownika; powinien on być „rozsądnie niezależny”, gotów do współpracy, tolerancyjny, a równocześnie ambitny i przedsiębiorczy. Tak więc, jak twierdzą doradcy od spraw małżeńskich, mąż powinien „rozumieć” swoją żonę i okazywać jej pomoc. Powinien pochlebnie się wyrażać o jej nowej sukni i smacznej potrawie. Ona z kolei powinna okazywać mu dużo zrozumienia, kiedy przychodzi do domu zmęczony i w kiepskim humorze, powinna uważnie słuchać, gdy opowiada jej o swoich kłopotach zawodowych, nie powinna się złościć, lecz potraktować rzecz wyrozumiale, kiedy zapomni o jej urodzinach.

Tak pojęty stosunek ograniczy się do przebiegającego bez większych zgrzytów „współżycia” dwojga ludzi, którzy przez całe życie pozostaną sobie obcy, nigdy nie zbudują głębokiego związku, będą natomiast dla siebie uprzejmi i postarają się uprzyjemnić sobie życie.

Przy takim pojęciu miłości główny nacisk położony jest na znalezienie ucieczki od nie dającego się znieść uczucia samotności. W „miłości” znaleziono wreszcie schron przed samotnością. Tworzy się przymierze dwojga przeciw światu i ten egoizm *a deux* mylnie uważa się za miłość i zażyłość.

Podkreślanie ducha zespołowego, wzajemnej tolerancji i tym podobnych cech jest zjawiskiem stosunkowo niedawnym. Poprzedzał je w latach po pierwszej wojnie światowej

pogląd, że podstawę zadowalającego związku miłosnego, zwłaszcza zaś szczęśliwego małżeństwa, stanowi wzajemne zaspokojenie płciowe. Utrzymywano, że przyczyn, dla których małżeństwa tak często są nieszczęśliwe, należy szukać w tym, że partnerzy „nie dobrali się” pod względem fizycznym; powodów tak przynaglać bez wskazywania celu - poza tym jednym, aby prosperowali, ciągle byli w ruchu, działali, szli naprzód.

Co z tego wynika? Nowoczesny człowiek wyobcowuje się od siebie, od swoich bliźnich, od natury.¹ Został przekształcony w towar, traktuje swoje siły żywotne jako inwestycję, która musi mu przynieść maksymalny zysk możliwy do osiągnięcia przy istniejących warunkach rynkowych. Stosunki, jakie łączą ludzi, są w zasadzie stosunkami wyobcowanych automatów, przy czym każdy opiera swoje bezpieczeństwo na trzymaniu się blisko stada i na niewyróżnianiu się od innych w myśli, uczuciach czy działaniu. Chociaż każdy usiłuje trzymać się możliwie jak najbliżej innych, pozostaje jednak zupełnie samotny, przepełniony głębokim uczuciem niepewności, niepokoju i winy, co występuje zawsze, gdy człowiekowi nie udaje się przezwyciężyć osamotnienia. Nasza cywilizacja oferuje wiele paliatywów, które pomagają ludziom nie uświadamiać sobie własnej samotności: na pierwsze miejsce wysuwa się ścisła rutyna zbiurokratyzowanej, zmechanizowanej pracy, która pomaga nie dopuszczać do głosu nawet najbardziej podstawowych ludzkich pragnień, tęsknoty za wyjściem poza samego siebie i za zespoleniem. Jeśli nie wystarcza tu sama rutyna pracy, człowiek pokonuje swoją nie uświadomioną rozpacz przy pomocy rutyny rozrywek, biernego konsumowania dźwięków i obrazów, jakie stawia mu do dyspozycji przemysł rozrywkowy; następnie przez zadowolenie, jakiego mu dostarcza nabywanie wciąż nowych rzeczy i szybkie wymienianie ich na inne. Dzisiejszy człowiek jest naprawdę bliski obrazu, jaki nakreślił Huxley w swym *Nowym wsapaniafym świecie*: dobrze odżywiony, dobrze ubrany, zaspokojony seksualnie, a jednak nie posiadający swego ja, bez żadnych, prócz bardzo powierzchownych, kontaktów z bliźnimi, człowiek, którego opisać można sformułowanymi przez Huxleya sloganami: „Kiedy jednostka czuje, społeczeństwo bzikuje”; albo „Nigdy nie odkładaj do jutra przyjemności, którą możesz mieć dzisiaj”, i wreszcie jako szczytowe hasło: „Každy w dzisiejszych czasach jest szczęśliwy”. Szczęście człowieka polega dzisiaj na „zabawieniu się”. Zabawić się to zaspokoić użyciem i „spożyciem” przeróżnych dóbr. Pochłania się wszystko: widowiska, jedzenie, napoje, papierosy, ludzi, odczyty, książki, filmy. Świat jest jednym wielkim przedmiotem naszego łaknienia, wielkim jabłkiem, pełną butelką, wielką piersią; my jesteśmy tymi, którzy ssą, wiecznie na coś czekają, mają na coś nadzieję — i wiecznie są z czegoś niezadowoleni. Nasza natura została nastawiona na wymienianie i otrzymywanie, na handel i konsumowanie;

wszystko, i to w równej mierze dobra duchowe jak i materialne, staje się przedmiotem wymiany i konsumpcji.

Jeśli chodzi o sprawę miłości, sytuacja siłą rzeczy odpowiada temu społecznemu charakterowi dzisiejszego człowieka. Automaty nie mogą kochać; mogą tylko wymieniać między sobą swoje „osobowe pakiety” w przekonaniu, że transakcja będzie uczciwa. Jednym z najbardziej doniosłych przejawów miłości, a zwłaszcza małżeństwa w tej wyobcowanej strukturze, jest pojęcie „zespołu”. W wielu pracach na temat szczęśliwego małżeństwa opisuje się je jako idealnie funkcjonujący zespół. Opis ten niewiele się różni od pojęcia sprawnie funkcjonującego pracownika; powinien on być „rozsądnie niezależny”, gotów do współpracy, tolerancyjny, a równocześnie ambitny i przedsiębiorczy. Tak więc, jak twierdzą doradcy od spraw małżeńskich, mąż powinien „rozumieć” swoją żonę i okazywać jej pomoc. Powinien pochlebnie się wyrażać o jej nowej sukni i smacznej potrawie. Ona z kolei powinna okazywać mu dużo zrozumienia, kiedy przychodzi do domu zmęczony i w kiepskim humorze, powinna uważnie słuchać, gdy opowiada jej o swoich kłopotach zawodowych, nie powinna się złościć, lecz potraktować rzecz wyrozumiale, kiedy zapomni o jej urodzinach.

Tak pojęty stosunek ograniczy się do przebiegającego bez większych zgrzytów „współżycia” dwojga ludzi, którzy przez całe życie pozostaną sobie obcy, nigdy nie zbudują głębokiego związku, będą natomiast dla siebie uprzejmi i postarają się uprzyjemnić sobie życie.

Przy takim pojęciu miłości główny nacisk położony jest na znalezienie ucieczki od nie dającego się znieść uczucia samotności. W „miłości” znaleziono wreszcie schron przed samotnością. Tworzy się przymierze dwojga przeciw światu i ten egoizm *a deux* mylnie uważa się za miłość i zażyłość.

Podkreślanie ducha zespołowego, wzajemnej tolerancji i tym podobnych cech jest zjawiskiem stosunkowo niedawnym. Poprzedzał je w latach po pierwszej wojnie światowej pogląd, że podstawę zadowalającego związku miłosnego, zwłaszcza zaś szczęśliwego małżeństwa, stanowi wzajemne zaspokojenie płciowe. Utrzymywano, że przyczyn, dla których małżeństwa tak często są nieszczęśliwe, należy szukać w tym, że partnerzy „nie dobrali się” pod względem fizycznym; powodów takiego stanu rzeczy dopatrywano się w ignorancji w sprawach „właściwego” postępowania w dziedzinie płci, w biednej technice seksualnej jednego czy obojga partnerów. Aby „wyleczyć” z tego mankamentu i przyjść z pomocą nieszczęśliwym parom, które nie potrafiły się kochać, wiele książek podawało wskazówki i rady, jak należy właściwie postępować w sprawach seksualnych, i pośrednio lub bezpośrednio obiecywało szczęście i miłość. Podłożem takiego mniemania było twierdzenie, że miłość jest dzieckiem przyjemności seksualnej i że jeżeli dwoje ludzi nauczy się wzajemnie

zadowalać seksualnie, będą się kochać. Zgodnie z ogólnie przyjętym w owym czasie złudzeniem zakładano, że zastosowanie właściwej techniki rozwiąże nie tylko problemy produkcji przemysłowej, lecz również i wszystkie inne problemy ludzkie. Nie wiadano, że rozwiązania należy szukać zupełnie gdzie indziej.

Miłość nie jest skutkiem zaspokojenia seksualnego, lecz szczęście seksualne — a nawet znajomość tak zwanej techniki seksualnej - jest wynikiem miłości. Gdyby teza ta wymagała dowodu, abstrahując od codziennych obserwacji, możemy go bez trudu znaleźć w obszernym materiale danych psychoanalitycznych. Badania najczęściej występujących problemów seksualnych - płciowej oziębłości u kobiet lub lżejszych czy ostrzejszych form impotencji psychicznej u mężczyzn - wykazują, że przyczyną ich nie jest brak znajomości właściwej techniki, lecz różne hamulce, które miłość uniemożliwiają. U podłoża trudności, które nie pozwalają człowiekowi całkowicie się oddać, postępować w spontaniczny sposób, zaufać partnerowi seksualnemu w bezpośredniości i prostocie fizycznego zbliżenia, leży lęk przed drugą płcią lub nawet nienawiść do niej. Jeżeli człowiek mający pewne zahamowania seksualne potrafi wyzwolić się od lęku czy nienawiści i w ten sposób stanie się zdolny do miłości — jego lub jej problem seksualny będzie rozwiązany. Jeżeli nie, nie pomoże znajomość techniki seksualnej.

Ale podczas gdy dane z zakresu psychoanalitycznej terapii wykazują błędność koncepcji, jakoby znajomość odpowiedniej techniki seksualnej prowadziła do szczęścia seksualnego i miłości, podstawowe założenie, że miłość jest czynnikiem towarzyszącym obopólnemu seksualnemu zaspokojeniu, było w znacznej mierze wynikiem wpływu teorii Freuda. Dla Freuda miłość była zasadniczo zjawiskiem seksualnym, „...doświadczenie stwierdzające, iż miłość płciowa (genitalna) daje ludziom największe zadowolenie i stanowi dla nich właściwie wzorzec wszelkiego szczęścia, musiało im nasunąć myśl, aby dalej szukać szczęścia w dziedzinie

stosunków płciowych i w centralnym punkcie życia postawić erotykę seksualną." Uczucie miłości braterskiej według Freuda jest rezultatem pożądania seksualnego, w którym jednakże instynkt seksualny przekształcił się w impuls w „zakazanym kierunku". „Miłość ta była pierwotnie miłością zmysłową i w nieświadomości ludzi pozostała taką do dzisiaj." O ile chodzi o uczucie połączenia, jedności (uczucie oceaniczne), które jest istotą mistycznego doznania i źródłem najbardziej intensywnego przeżycia związku z jakąś drugą osobą lub z własnym bliźnim, Freud zinterpretował je jako zjawisko patologiczne, jako cofnięcie się do stanu wczesnego „nieograniczonego narcyzmu".

Wystarczy postąpić na tej drodze o krok dalej, jak Freud, by uznać, że miłość sama w sobie jest zjawiskiem irracjonalnym. Różnica między miłością irracjonalną a miłością jako wyrazem dojrzałej osobowości dla niego nie istnieje. Twierdzi on w swoim artykule na temat transferencji miłości, że miłość przemieszczona nie różni się zasadniczo od „normalnego” zjawiska miłości. Zakochanie się zawsze graniczy z nienormalnością, zawsze towarzyszy mu zaślepienie oraz uczucie podporządkowania się pewnemu przymusowi; jest ono przeniesieniem związków z przedmiotami miłości z dzieciństwa. Miłością jako zjawiskiem racjonalnym, jako szczytowym osiągnięciem dojrzałości, Freud się nie zajmował, gdyż problem ten dla niego nie istniał.

Jednakże nie należy przeceniać wpływu, jaki wywarły zapatrywania Freuda na pogląd, że miłość jest rezultatem zainteresowania seksualnego lub raczej, że jest ona t y m s a m y m c o zaspokojenie seksualne, znajdujące odbicie w świadomym uczuciu. W istocie proces wynikania' przebiegał w innym kierunku. Na zapatrywania Freuda w pewnej mierze wpływała atmosfera dziewiętnastego wieku, zyskały zaś one popularność na skutek dominujących nastrojów panujących po pierwszej wojnie światowej. Pewne czynniki, które wywarły wpływ zarówno na ogólnie przyjęte poglądy, jak też i na teorie Freuda, były przede wszystkim reakcją na surowe obyczaje epoki wiktoriańskiej. Drugim czynnikiem determinującym teorię Freuda była panująca wówczas koncepcja człowieka, wynikająca ze struktury kapitalizmu. Aby udowodnić, że kapitalizm odpowiada naturalnym ludzkim potrzebom, należało wykazać, że człowiek z samej swej natury dąży do współzawodnictwa i że cechuje go wrogość w stosunku do innych ludzi. Podczas gdy ekonomiści „udowadniali” tę tezę, nazywając to nienasyconym pragnieniem ekonomicznego zysku, a darwiniści określali jako biologiczne prawo przetrwania jednostek najlepiej przystosowanych, Freud doszedł do tego samego wniosku, zakładając, że mężczyzną kieruje bezgraniczne pożądanie wszystkich kobiet i że jedynie nacisk społeczeństwa powstrzymuje go od zaspokojenia tych pragnień. W efekcie mężczyźni siłą rzeczy są o siebie zazdrośni, a ta wzajemna zazdrość i rywalizacja miałyby się utrzymać nawet wówczas, gdyby znikły wszystkie społeczne i ekonomiczne jej przyczyny. Wreszcie na rozumowanie Freuda wywierał przemożny wpływ pewien typ materializmu rozpowszechniony w dziewiętnastym wieku. Wierzono, że podłożem wszelkich zjawisk psychicznych są zjawiska fizjologiczne; tak więc miłość, nienawiść, ambicję, zazdrość Freud wyjaśniał jako przejawy przeróżnych form instynktu seksualnego. Nie dostrzegał on, że podstawowa rzeczywistość to całokształt ludzkiego istnienia, przede wszystkim zaś wspólna wszystkim ludziom sytuacja, a po wtóre praktyka życia określona przez swoistą strukturę społeczeństwa. (Zdecydowanie wykroczył poza ten typ materializmu Marks; w materializmie

historycznym ani ciało, ani instynkt w rodzaju potrzeby pokarmu czy posiadania nie stanowią klucza do zrozumienia człowieka, lecz całość jego procesu życiowego, jego „praktyka życia”).

Freud twierdzi, że pełne i niczym nie krępowane zaspokajanie wszystkich instynktownych pragnień doprowadziłoby do psychicznego zdrowia i szczęścia. Ale kliniczne fakty wykazują wyraźnie, że mężczyźni — i kobiety - którzy oddają się niczym nie ograniczonemu wyżyciu seksualnemu, nie osiągają szczęścia i bardzo często cierpią na ciężkie nerwice lub wykazują ich objawy. Całkowite zaspokojenie wszystkich instynktownych potrzeb nie tylko nie stanowi podstawy szczęścia, ale nawet nie gwarantuje zdrowia psychicznego. A jednak idea Freuda mogła zyskać taką popularność po pierwszej wojnie światowej jedynie dzięki zmianom, jakie zaszły w charakterze kapitalizmu; polegały one na przesunięciu punktu ciężkości z oszczędzania na wydawanie, z samoograniczeń — jako środka prowadzącego do osiągnięcia ekonomicznych sukcesów, do konsumpcji - jako podstawowego warunku stałego poszerzania się rynku oraz dostarczycielki głównej przyjemności dla targanej niepokojem, zautomatyzowanej jednostki. Nie zwlekać z zaspokajaniem wszelkich pragnień stało się główną tendencją zarówno w dziedzinie seksu, jak i konsumpcji wszelkich dóbr materialnych.

Ciekawie wypada porównanie poglądów Freuda, zgodnych z duchem kapitalizmu, jaki panował jeszcze w nienaruszonym stanie w początkach naszego wieku, z teoretycznymi koncepcjami jednego z najznakomitszych współczesnych psychoanalityków, nie żyjącego już H.S. Sulliyana. W psychoanalitycznym systemie Sullivana, w przeciwieństwie do Freuda, znajdujemy ściśle rozgraniczenie pomiędzy seksualizmem a miłością.

Jakie znaczenie ma miłość i zażyłość w koncepcji Sullivana? „Zażyłość jest typem sytuacji obejmującej dwoje ludzi, która stwarza możliwość utwierdzenia wszystkich ich wartości osobistych. Utwierdzenie tych wartości osobistych wymaga typu stosunku, jaki nazywam współpracą i przez który rozumiem jasno określone dostosowanie się postępowania człowieka do wyrażonych potrzeb drugiej osoby, na drodze do osiągnięcia coraz bardziej identycznego, to znaczy coraz bliższego pełnej wzajemności, zadowolenia oraz do zapewnienia coraz bardziej podobnego u obu stron poczucia bezpieczeństwa tego stosunku.”⁷

Jeżeli wyrazimy twierdzenie Sullivana nieco prościej, ujrzymy istotę miłości jako współpracę, w której dwoje ludzi tak czuje: „Gramy zgodnie z zasadami gry, aby utrzymać nasz prestiż, poczucie wyższości i świadomość własnych zasług. ”

O ile koncepcja Freuda jest opisem doznań patriarchalnego samca w warunkach dziewiętnastowiecznego kapitalizmu, to opis Sullivana odnosi się do doznania wyobcowanej,

myślącej kategoriami handlowymi osobowości wieku dwudziestego. Jest to opis „egotyzmu *ó deux*” dwojga

ludzi, którzy połączyli swe wspólne interesy i wspólnie stawiają czoło wrogiemu, obcemu światu. W rzeczywistości jego definicja stosunków miłosnych może się w zasadzie odnosić do każdego współpracującego zespołu, w którym każdy przystosowuje swoje zachowanie do wyrażonych potrzeb drugiej osoby w dążeniu do wspólnego celu. (Jest rzeczą godną uwagi, że Sullivan mówi tu o potrzebach w *y r a ż o n y c h*, podczas gdy o miłości można by powiedzieć przede wszystkim to, że zakłada ona w stosunkach między dwojgiem ludzi reakcję na potrzeby *n i e w y r a ż o n e*).

Miłość jako wzajemne seksualne zaspokojenie oraz miłość jako „praca zespołu” i jako schron przed samotnością *są* to dwie „normalne” formy dezintegracji miłości w nowoczesnym zachodnim społeczeństwie. Istnieje wiele zindywidualizowanych form patologii miłości, które powodują świadome cierpienia i które zarówno psychiatrzy, jak i stale poszerzające się grono laików uważają za neurotyczne. Pewne z nich, występujące częściej, opisane są pokrótce w poniższych przykładach.

U podłoża miłości neurotycznej leży fakt, że u jednego lub u obojga „kochanków” pozostało przywiązanie do osoby ojca lub matki i jako ludzie dorośli przenoszą oni na kochaną osobę swoje uczucia, nadzieje i obawy, jakie odczuwali wobec któregoś z rodziców; ludzie tacy nigdy nie uwalniają się od dominacji wzorca dziecięcej zależności i jako dorośli w swoich potrzebach uczuciowych tego wzorca poszukują. W przypadkach tego rodzaju człowiek pozostaje w zakresie uczuciowym dwu-, pięcio- czy nawet dwunastolatkiem pod względem rozwoju, podczas gdy intelektualnie i pod względem pozycji społecznej jest na poziomie swojego prawdziwego wieku. W cięższych przypadkach ta uczuciowa niedojrzałość prowadzi do zakłóceń w społecznej działalności danego człowieka; w lżejszych natomiast konflikt ogranicza się do sfery intymnych osobistych stosunków.

Nawiązując do naszych poprzednich rozważań na temat osobowości całkowicie ześrodkowanej na osobie ojca czy matki, przytoczę przykład neurotycznego stosunku miłosnego, z jakim się dzisiaj często spotykamy; dotyczy on ludzi, którzy utknęli na swym dziecięcym przywiązaniu do matki. Ludzie ci nigdy nie odłączają się od matki, tak jak powinni. Ciągłe jeszcze czują się jak dzieci, pragną matczynej opieki, miłości, ciepła, troski i podziwu, chcą niczym nie uwarunkowanej miłości matki, miłości bez żadnej innej przyczyny poza tym, że oni jej potrzebują, że są dziećmi matki, że są bezradni. Tego rodzaju ludzie często są bardzo czuli i uroczy, jeżeli próbują wzbudzić u kobiety miłość, a nawet i potem, kiedy osiągną już swój cel. Jednakże ich stosunek do kobiety (jak zresztą i do wszystkich

innych ludzi) pozostaje powierzchowny i nieodpowiedzialny. Ich celem jest być kochanym, a nie kochać samemu. Na ogół u tego rodzaju ludzi występuje spora doza próżności, pokrywana mniej lub bardziej wspaniałymi ideami. Jeżeli znaleźli odpowiednią kobietę, czują się bezpieczni, bardzo pewni siebie i potrafią przejawiać dużo uczucia i wdzięku; i tu właśnie leży przyczyna, że tak często wprowadzają innych w błąd. Jednakże kiedy po jakimś czasie kobieta przestaje spełniać ich fantastyczne oczekiwania, zaczynają się konflikty i obrazy. Jeżeli kobieta nie podziwia ich bez ustanku, jeżeli rości sobie prawo do tego, aby żyć własnym życiem, jeżeli pragnie być kochana i otaczana opieką, a w drastycznych wypadkach, jeżeli nie ma ochoty wybaczać miłosnych przygód z innymi kobietami (albo nawet okazywać pełnego podziwu zainteresowania), mężczyzna czuje się głęboko dotknięty, rozczarowany i zazwyczaj dochodzi do przekonania, że dana kobieta nie kocha go, jest egoistką albo chce go tyranizować. Wszystko, co odbiega od zachowania kochającej matki wobec uroczego dziecka, jest uważane za dowód braku miłości. Mężczyźni ci zazwyczaj mylnie biorą swoje czule zachowanie, swoją chęć podobania się za prawdziwą miłość, a zatem dochodzą do wniosku, że potraktowano ich bardzo nieuczciwie; wyobrażają sobie, że są wspaniałymi kochankami, i gorzko wyrzekają na niewdzięczność swoich partnerek.

W rzadkich wypadkach człowiek, który tkwi w swym przywiązaniu do matki, potrafi żyć bez jakichś poważniejszych komplikacji. Jeżeli matka rzeczywiście kochała go, otaczając przesadną opieką (może go tyranizowała, nie wpływając jednak na niego destrukcyjnie), jeżeli znajdzie on żonę o tym samym macierzyńskim typie, jeżeli jego szczególne zalety i uzdolnienia pozwolą mu wykorzystać swój urok i cieszyć się powodzeniem (jak się to niekiedy zdarza z popularnymi politykami), może się „dobrze ustawić” w sensie społecznym, nie osiągając przy tym jednak nigdy wyższego stopnia dojrzałości. Natomiast w warunkach mniej sprzyjających - a te zdarzają się oczywiście dużo częściej - życie miłosne, a nawet społeczne będzie dla niego poważnym rozczarowaniem; kiedy tego rodzaju osobowość jest zdana sama na siebie, zaczynają powstawać przeróżne konflikty, a często również silny niepokój i stany depresyjne.

W ostrzejszych formach patologicznych mania na punkcie matki jest jeszcze głębsza i jeszcze bardziej irracjonalna. Na tym poziomie pragnienie nie jest, mówiąc symbolicznie, chęcią powrotu w opiekuńcze ramiona matki ani też do jej karmiącej piersi, ale do jej wszechprzyjmującego - i wszechunicestwiającego - łona. O ile istota normalnego stanu psychicznego polega na oddzieleniu się od łona matki i wyjściu w świat, o tyle w przypadku poważnej choroby psychicznej obserwujemy związanie z matczynym fonem i pragnienie, aby zostać przez nie wchłoniętym z powrotem - to *znaczy* chęć ucieczki od życia. Ten rodzaj

zbożenia występuje zazwyczaj pod wpływem matek, które traktują dzieci w pochłaniająco niszczący sposób. Niekiedy w imię miłości, niekiedy obowiązku chcą one zatrzymać dziecko, młodzieńca, mężczyznę niejako w sobie; powinien móc oddychać tylko poprzez matkę, powinien móc kochać tylko na płaszczyźnie powierzchownej, seksualnej - poniżającej wszystkie inne kobiety; nie powinien być zdolnym i niezależnym człowiekiem, lecz zostać wiecznym kaleką albo przestępcą.

Ten aspekt matki, niszczący i pochłaniający, jest aspektem negatywnym jej postaci. Matka może dać istnienie i może je zabrać. Ona jest tą, która potrafi tchnąć nowe życie, i tą, która niszczy; potrafi dokonywać cudów miłości - i nikt inny nie potrafi zadać większego bólu niż ona. W wyobrażeniach religijnych (na przykład hinduskiej bogini Kali) i w symbolice snów często można odczytać te dwa sprzeczne aspekty matki.

Inną formę nerwicy obserwujemy w przypadkach, w których przedmiotem szczególnego przywiązania jest ojciec.

Dotknięty nią człowiek to ktoś, kogo matka jest chłodna i powściągliwa, podczas gdy ojciec (częściowo właśnie z powodu oziębłości żony) koncentruje wszystkie uczucia i zainteresowania na synu. Jest on wprawdzie „dobrym ojcem”, lecz równocześnie człowiekiem autorytatywnym. Kiedy jest zadowolony z syna, chwali go, daje mu prezenty, jest serdeczny; jeżeli natomiast syn wywoła jego niezadowolenie, cofa swoje łaski lub go karci. Syn, dla którego uczucie ojcowskie jest jedynym, jakie posiada, przywiązuje się do ojca w sposób niewolniczy. Głównym celem jego życia staje się sprawianie przyjemności ojcu - i jeśli mu się to udaje, czuje się szczęśliwy, bezpieczny i zadowolony. Kiedy jednak popełni błąd, coś mu się nie uda albo nie zdoła zadowolić ojca, czuje się zdeprimowany, niekochany, odrzucony. W późniejszym życiu człowiek taki będzie próbował znaleźć kogoś o cechach ojca, do kogo przywiąże się w podobny sposób. Całe jego życie stanie się pasmem wzlotów i upadków w zależności od tego, czy udało mu się zasłużyć na pochwałę ojca. Ludziom takim często doskonale układa się ich kariera społeczna. Są sumienni, godni zaufania, gorliwi - jeśli potrafią kierować się stworzonym przez siebie wizerunkiem ojca. Natomiast w stosunkach z kobietami są pełni rezerwy i trzymają się od nich z daleka. Kobieta nie ma dla nich zasadniczego znaczenia; traktują ją zazwyczaj z lekką pogardą, często maskowaną przez okazywanie ojcowskiego zainteresowania małą dziewczynką. Początkowo mężczyzna taki może wyrzucić na kobiecie pewne wrażenie swoją męskością, jednak z czasem rozczarowuje ją coraz bardziej - gdy np. kobieta, którą poślubił, odkrywa, że przypadła jej drugorzędna rola wobec pierwszoplanowego uczucia do postaci ojca, dominującej nieustannie w życiu męża; może się jednak zdarzyć, że i żonie nie udało się

wyzwolić ze swego przywiązania do ojca, a wtedy czuje się szczęśliwa z mężem, który traktuje ją jak rozkapryśzone dziecko.

Bardziej skomplikowany jest rodzaj zaburzenia neurotycznego w miłości, kiedy stosunki między rodzicami kształtują się jeszcze inaczej: rodzice nie kochają się nawzajem, są jednak zbyt opanowani, aby się kłócić lub okazywać niezadowolenie. Zarazem jednak ich wzajemna obcość sprawia, że i w stosunku do dzieci brak im spontaniczności uczuć. Mała dziewczynka żyje wtedy w atmosferze „poprawnych” form, które nigdy nie pozwalają na bliski kontakt ani z ojcem, ani z matką, wobec czego staje się zakłopotana i wylękniona. Nigdy nie jest pewna, co jej rodzice myślą i czują; w atmosferze stale tkwi coś nieznanego, tajemniczego. Dziewczynka wycofuje się więc w swój własny świat, marzy na jawie, oddala się od wszystkiego i potem w swoich stosunkach uczuciowych wykazuje nadal te same cechy.

Co więcej, to zamknięcie się w sobie rozwija w niej silny niepokój, uczucie braku jakiegś trwałej podstawy w życiu, i często prowadzi do skłonności masochistycznych jako jedyne go sposobu zaznania silnego podniecenia. Tego rodzaju kobiety często wołałyby, aby ich mąż zrobił scenę czy zaczął krzyczeć, zamiast zachowywać się rozsądnie i normalnie, gdyż uwolniłoby to je przynajmniej od ciężaru napięcia i lęku; nierzadko podświadomie prowokują takie zachowanie mężów, aby położyć kres zadręczającemu je stanowi uczuciowej neutralności.

Poniżej opisane są inne często występujące formy irracjonalnej miłości, bez wnikania w analizę specyficznych czynników w okresie rozwoju dziecka, które leżą u ich podstaw.

Dość często spotykaną i doznawaną formą pseudomiłości (najczęściej przedstawianą na filmach i w powieściach jako „wielka miłość”) jest mi-łość_ J> a l w o c h w a l c z a . Jeżeli człowiek nie osiągnął poziomu, na którym dochodzi się do zrozumienia własnej autentyczności, własnego ja - poprzez produktywny rozwój swoich sił - skłania się wówczas do „bałwochwalczego uwielbiania” ukochanej osoby. Pozbywa się on swoich własnych mocy i przerzuca je na ukochaną osobę, którą czci jako *summum bonum*, sprawcę wszelkiej miłości, wszelkiego światła i wszelkiej szczęśliwości. Pozbawia się wtedy poczucia siły i zamiast się odnajdywać, ztraca się w ukochanej osobie. Ponieważ nikt nie może na dłuższą metę utrzymać się na piedestale wzniesionym przez bałwochwalczego czciciela, pojawia się nieuchronnie rozczarowanie i, aby temu zaradzić, poszukuje się nowego bożyszcza, czasami powtarzając to bez końca. Cechą charakterystyczną takiej bałwochwalczej miłości jest jej nagłość i gwałtowność w początkowym momencie. Tę bałwochwalczą miłość często opisuje się jako prawdziwą wielką miłość; ale choć ma ona przedstawiać siłę i głębię uczucia, demonstruje jedynie głód i rozpacz ubóstwiającego. Nie trzeba chyba mówić, że nierzadko się

zdarza, że dwoje ludzi zapala do siebie takim samym bałwochwalczym uczuciem, które czasem, w krańcowych przypadkach, przedstawia obraz *folie a deux*.

Inną formą pseudomiłości jest uczucie, które by można nazwać „m i ł o ś c i ą s e n t y m e n t a l n ą”. Jej istota polega na tym, że miłość taką odczuwa się jedynie w sferze fantazji, a nie w bezpośrednim stosunku do realnie istniejącego człowieka. Najbardziej rozpowszechnioną formą tego rodzaju uczucia jest zastępcze zadowolenie miłosne odczuwane przez pożeraczy filmów, romansów i sentymentalnych piosenek. Wszystkie nie zrealizowane pragnienia miłości, zespolenia i bliskości znajdują zaspokojenie w przeżywaniu tych utworów. Mężczyzna i kobieta, którzy wobec swoich współmałżonków nie potrafią przeniknąć muru odseparowania, wzruszają się do łez, kiedy biorą udział w szczęśliwej czy nieszczęśliwej perypetii miłosnej rozgrywającej się na ekranie. Dla wielu par oglądanie tych historii w kinie jest jedyną okazją przeżycia miłości - nie każde dla siebie, ale razem, jako widzowie przyglądający się „miłości” innych ludzi. Póki miłość jest marzeniem na jawie, mogą w niej brać udział; z chwilą jednak gdy sprawa zstępuje na ziemię, gdy w grę zaczyna wchodzić realny stosunek między dwojgiem realnych ludzi - lodowacieją.

Innym aspektem miłości sentymentalnej jest uabstrakcyjnienie miłości w czasie. Dwoje ludzi może się głęboko wzruszać wspomnieniami minionej miłości - chociaż w momencie, kiedy ta przeszłość była teraźniejszością, nic głębszego nie przeżywali - lub rojeniami na temat przyszłego uczucia. Ile zaręczonych czy niedawno poślubionych par marzy o miłości, jaka się kiedyś stanie ich udziałem, podczas gdy w chwili, którą właśnie przeżywają, zaczynają się już wzajemnie nudzić. Ta skłonność zbiega się z ogólną postawą charakterystyczną dla dzisiejszego człowieka. Żyje on w przeszłości albo w przyszłości, ale nigdy w teraźniejszości. Wspomina z rozrzewnieniem swoje dzieciństwo i matkę - albo robi radosne plany na przyszłość. Niezależnie od tego, czy miłość odczuwa się zastępczo, przez uczestnictwo w fikcyjnych doznaniach innych ludzi, czy też przesuwają ją z teraźniejszości w przeszłość lub przyszłość - ta uabstrakcyjniona i wyobcowana forma miłości służy za narkotyk kojący ból rzeczywistości, samotności i odosobnienia jednostki.

Jeszcze inną formą neurotycznej miłości jest używanie m e c h a n i z m ó w p r o j e k c y j n y c h , aby uchylić się od własnych problemów, a zamiast tego zająć się wadami i słabościami „kochanej” osoby. Jednostki zachowują się pod tym względem zupełnie podobnie jak grupy, narody czy religie. W znakomity sposób potrafią zdać sobie sprawę z nawet mało istotnych słabych stron drugiego człowieka, podczas gdy z uśmiechem na ustach przechodzą do porządku dziennego nad własnymi błędami - ustawicznie zajmują się oskarżaniem czy poprawianiem drugiego człowieka. Jeżeli dwoje ludzi robi to równocześnie -

jak to się dosyć często zdarza - stosunek uczuciowy przekształca się w stosunek wzajemnej projekcji. Jeżeli jestem despotą albo człowiekiem niezdecydowanym czy chciwym - oskarżam o to mojego partnera i, zależnie od mego charakteru, chcę go albo leczyć, albo *karać*. Druga osoba robi to samo - i tak obojgu udaje się pomijać własne problemy, wskutek czego nie podejmują żadnych kroków, które by mogły pomóc im w ich własnym rozwoju.

Inną formą projekcji jest przerzucanie własnych problemów na dzieci. Przede wszystkim przerzucanie takie dość często przejawia się w samej chęci posiadania potomstwa. W takich przypadkach pragnienie posiadania dzieci wywołane jest głównie chęcią przerzucenia problemu własnego istnienia na problem istnienia dzieci. Kiedy człowiek czuje, że nie potrafił nadać sensu własnemu życiu, próbuje odnaleźć ten sens w życiu swoich dzieci. Ale próby takie skazane są z góry na niepowodzenie, i to zarówno w odniesieniu do danego człowieka, jak i do jego dzieci. W odniesieniu do niego, ponieważ problem istnienia każdy musi rozwiązać sam dla siebie bez żadnego pośrednika; w odniesieniu zaś do dzieci, gdyż brak mu właśnie tych cech, których potrzeba do kierowania nimi, kiedy *zaczynają* szukać odpowiedzi na to pytanie. Dzieci służą do celów „przerzucenia” również wtedy, kiedy powstaje kwestia rozwiązania nieszczęśliwego małżeństwa. Ogólnie przyjętym w takiej sytuacji argumentem rodziców jest twierdzenie, że nie mogą się rozejść, gdyż nie chcą pozbawiać dzieci dobrodziejstw wspólnej rodziny. Każde szczegółowe badanie wykazałoby jednak, że atmosfera napięcia i braku szczęścia we „wspólnej rodzinie” przynosi dzieciom więcej szkody niż otwarte zerwanie - które przynajmniej uczy je, że człowiek przy pomocy odważnej decyzji może zlikwidować nieznośną sytuację.

Należy tu jeszcze wspomnieć o pewnym często popełnianym błędzie, a mianowicie o złudzeniu, że miłość musi koniecznie oznaczać brak konfliktów. Tak samo jak ludzie przyzwyczaili się uważać, że za wszelką cenę należy unikać bólu i smutku, tak samo wierzą, że miłość oznacza brak wszelkich konfliktów. I znajdują słuszne powody, aby tak sądzić, w fakcie, że starcia wokół nich wydają się jedynie destruktywną wymianą poglądów, która nie przynosi nic dobrego żadnej z zainteresowanych stron. Ale przyczyna tkwi w tym, że „konflikty” większości ludzi w rzeczywistości nie są niczym innym jak próbą ominięcia prawdziwych konfliktów. Są one nieporozumieniami w drobnych, powierzchownych sprawach, które z samej swej natury nie nadają się do wyjaśnienia czy rozwiązania. Prawdziwe konflikty między dwojgiem ludzi, te, które nie służą do tego, aby coś ukryć czy przerzucać na innych, które przeżywa się w najgłębszych warstwach wewnętrznej rzeczywistości i które jej dotyczą - nie są destrukcyjne. Prowadzą do wyjaśnienia, rodzą *katharsis*, z której ludzie

wychodzą mądrzejsi i silniejsi. Prowadzi nas to do ponownego podkreślenia tego, o czym była mowa powyżej.

Miłość jest możliwa jedynie wtedy, jeżeli dwoje ludzi komunikuje się ze sobą z samej głębi swej istoty, to znaczy jeżeli każde z nich przeżywa siebie do samej głębi swej istoty. Jedynie w takim przeżyciu mieści się ludzka rzeczywistość, jedynie tu jest to, co naprawdę żywe, jedynie tu jest źródło miłości. Miłość przeżywana w ten sposób jest nieustannym wyzwaniem; nie jest stanem wypoczynku, lecz ruchu, wzrostu, wspólnej pracy; nawet to, czy istnieje harmonia czy konflikt, radość czy smutek, jest czymś drugorzędnym wobec zasadniczego faktu, że dwoje ludzi przeżywa siebie w samej głębi swego istnienia i że mocniej czują się jednością będąc razem niż osobno. Istnieje tylko jeden dowód na obecność miłości: głębokość wzajemnego związku oraz żywotność i siła każdej z zainteresowanych osób; oto owoc, po którym poznaje się miłość.

Tak jak automaty nie mogą się kochać nawzajem, nie mogą też kochać Boga. *De z i n t e g r a c j a m i ł o ś c i B o g a* osiągnęła te same rozmiary co dezintegracja miłości człowieka. Fakt ten pozostaje w rażącej sprzeczności z poglądem, jakobyśmy w obecnej epoce byli świadkami renesansu religijnego. Nic dalszego od prawdy. To, czego jesteśmy świadkami (nawet jeżeli istnieją tu pewne wyjątki), jest nawrotem do bałwochwalczej koncepcji Boga i przekształceniem miłości Boga w stosunek dostosowany do wyobcowanej struktury danego osobnika. Nawrót do bałwochwalczego pojęcia Boga jest łatwo widoczny. Ludzi gnębi niepokój, nie mają ani zasad, ani wiary, widzą, że ich jedyny cel to wciąż pędzić przed siebie; dlatego wciąż są dziećmi, wciąż mają nadzieję, że w potrzebie ojciec lub matka pośpieszy im z pomocą.

To prawda, że w religijnych kulturach, jak na przykład w kulturze wieków średnich, przeciętny człowiek też patrzył na Boga jak na śpieszącego z pomocą ojca czy matkę. Ale równocześnie traktował Boga poważnie w tym sensie, że najważniejszym celem jego życia było postępowanie zgodne z przykazaniami Boga, bo naczelną jego troską, której podporządkowywał całą działalność - było „zbawienie”. Dziś nikt o to nie dba. Życie codzienne odcięło się od wszelkich wartości religijnych. Poświęcone jest pogoni za wygodami materialnymi i powodzeniem na ludzkim rynku. Zasady, na których opierają się nasze doczesne wysiłki, to obojętność i egotyzm (ten ostatni określa się często mianem „indywidualizmu” lub „indywidualnej inicjatywy”). Człowieka żyjącego w kulturach prawdziwie religijnych można porównać do ośmioletniego dziecka, które potrzebuje pomocy ojca, ale które *zaczyna* przyswajając sobie jego nauki i zasady. Współczesny człowiek przypomina raczej

trzyletnie dziecko, które wzywa ojca, kiedy go potrzebuje, a poza tym, kiedy może się bawić, jest w zupełności samowystarczalne.

Pod tym względem, w dziecięcej zależności od antropomorficznego obrazu Boga. bez przekształcenia życia zgodnie z jego przykazaniami, jesteśmy bliżsi pierwotnego bałwochwalczego plemienia niż ludzie żyjący w religijnej kulturze średniowiecza. Pod innym względem nasza postawa wobec religii wykazuje nowe cechy, charakterystyczne jedynie dla współczesnego zachodniego społeczeństwa kapitalistycznego. Mogę się tu powołać na stwierdzenia z poprzedniej części książki. Nowoczesny człowiek przekształcił się w towar; traktuje swoją energię życiową jak inwestycję, która powinna mu przynieść maksymalny zysk, stosowny do jego pozycji i sytuacji na ludzkim rynku. Człowiek taki jest wyobcowany od samego siebie, od swoich bliźnich i od natury. Jego głównym celem jest korzystna wymiana swoich zdolności, wiedzy i samego siebie, swego „osobowego pakietu” - z innymi, którzy w równej mierze są nastawieni na uczciwą i korzystną wymianę. Jedynym celem życia jest ruch, jedyną zasadą -zasada uczciwej wymiany, jedynym zadowoleniem - konsumpcja.

Jakie znaczenie może mieć w tych warunkach pojęcie Boga? Uległo ono przeobrażeniu ze swego pierwotnego religijnego znaczenia na pojęcie dostosowane do wyobcowanej kultury sukcesu. W religijnym przebudzeniu ostatnich czasów wiara w Boga została przeobrażona w psychologiczny wybieg mający na celu lepsze przystosowanie człowieka do konkurencyjnej walki.

Religia sprzymierza się z autosugestią i psychoterapią, aby pomagać człowiekowi w jego zawodowych zajęciach. W latach dwudziestych nikt jeszcze nie zwracał się do Boga, prosząc go o „ulepszenie własnej osobowości”. Bestseller z roku 1938 Dale'a Carnegie'ego pod tytułem *How to Win Friends and Influence People (Jak zdobywać przyjaciół i wpływ na ludzi)* ograniczał się do płaszczyzny ściśle świeckiej. Rolę, jaką w owych czasach spełniała książka Carnegie'ego, dziś spełnia największy bestseller *The Power of Positive Thinking (Siła pozytywnego myślenia)* N.V. Peale'a. W tej religijnej książce nie ma nawet wzmianki, czy nasze główne zainteresowanie zdobyciem powodzenia jest samo w sobie zgodne z duchem religii monoteistycznej. Wprost przeciwnie, tego najwyższego celu nie podaje się w ogóle w wątpliwość, natomiast zaleca się wiarę w Boga i modlitwę jako środki prowadzące do zwiększenia zdolności zdobywania powodzenia. Tak samo jak dzisiejszy psychiatra poleca dbać o szczęście pracowników celem łatwiejszego pozyskania klientów, niektórzy duchowni zalecają miłość Boga jako środek prowadzący do większego powodzenia. „Uczyn Boga swoim partnerem” oznacza raczej uczynienie go partnerem w sprawach zawodowych niż zespolenie się z nim w miłości, sprawiedliwości i prawdzie. Tak jak miłość braterska została

zastąpiona przez bezosobową rzetelność, Boga przekształcono w dalekiego naczelnego dyrektora towarzystwa akcyjnego „Wszechświat”; wiesz, że tam jest, że kieruje całą imprezą (choć prawdopodobnie prosperowałaby ona również i bez niego), nigdy go nie widzisz, ale uznajesz jego kierownictwo, robiąc „to, co do ciebie należy”.

IV. Praktyka miłości

Kiedy uporaliśmy się już z teoretycznym aspektem sztuki miłości, staje obecnie przed nami problem o wiele trudniejszy, a mianowicie praktyka sztuki miłości. Czy można się nauczyć czegoś o praktyce jakiejś sztuki, nie uprawiając jej?

Trudność tego zagadnienia wzmacnia fakt, że w obecnych czasach większość ludzi, a zatem wielu czytelników tej książki, oczekuje, że otrzyma receptę, „jak to masz robić”, co w naszym przypadku oznaczałoby pouczenie, jak należy kochać. Obawiam się, że każdy, kto przystępuje do tego ostatniego rozdziału naszej książki z tym nastawieniem, poważnie się rozczaruje. Miłość jest doznaniem osobistym, które każdy może przeżyć tylko sam w sobie i dla siebie; nie ma zresztą chyba nikogo, kto by nie doświadczył choć w nieznacznym stopniu tego uczucia jako dziecko, młodzieniec czy jako człowiek dorosły. Rozważania na temat praktyki miłości mogą zająć się jedynie przesłankami sztuki kochania, postaw wobec niej lub stworzeniem w praktyce odpowiednich przesłanek i wypracowaniem postaw. Kroki na tej drodze stawiać można jedynie samemu, a dyskusja zamyka się przed postawieniem ostatniego, decydującego kroku. A jednak uważam, że dyskusja na temat ujmowania interesującego nas zagadnienia może być pomocna w opanowaniu sztuki miłości - przynajmniej dla tych, którzy przestali wyczekiwać na gotowe „recepty”.

Uprawianie wszelkiej sztuki stawia pewne ogólne wymagania, niezależnie od tego, czy zajmujemy się sztuką stolarską, lekarską, czy też sztuką kochania. Uprawianie sztuki wymaga przede wszystkim d y s c y p l i n y. Nigdy w niczym nie osiągnę dobrych wyników, jeżeli nie będę wykonywał tego w sposób zdyscyplinowany; jeżeli robię cokolwiek tylko wtedy, kiedy „jestem w nastroju”, uprawiam mile lub zabawne hobby, lecz nigdy nie stanę się mistrzem w tej dziedzinie. Ale problem nie ogranicza się jedynie do dyscypliny w uprawianiu określonej sztuki (powiedzmy do ćwiczenia się w niej codziennie przez kilka godzin), lecz jest problemem dyscypliny całego życia. Można by pomyśleć, że dla dzisiejszego człowieka nie ma rzeczy łatwiejszej niż opanowanie dyscypliny. Czy nie spędza on co dzień w sposób jak najbardziej

zdyscyplinowany ośmiu godzin przy pracy ściśle zrutynizowanej? A jednak jest faktem, że dzisiejszy człowiek poza sferą pracy zawodowej jest niezmiernie mało zdyscyplinowany. Kiedy nie pracuje, chce leniuchować, leżeć sobie nic nie robiąc lub, innymi słowy, „relaksować się”. I właśnie ta chęć nieróbstwa jest w dużej mierze reakcją przeciwko rutynie życia. Człowiek przez osiem godzin dziennie musi zużywać swą energię nie dla własnych celów, w sposób nie wymyślony przez siebie, lecz narzucony mu przez rytm pracy, i właśnie dlatego buntuje się i ten jego bunt przybiera postać dziecinnego folgowania sobie. W dodatku w walce z kultem autorytetu człowiek stał się nieufny w stosunku do wszelkiej dyscypliny, i to zarówno tej irracjonalnej, narzuconej mu przez władzę, jak i racjonalnej, nałożonej przez samego siebie. A jednak bez takiej dyscypliny życie rozłazi się, staje się chaotyczne i rozproszone.

Nie trzeba chyba udowadniać, że k o n c e n t r a c j a jest niezbędnym warunkiem opanowania każdej sztuki. Wie o tym każdy, kto kiedykolwiek tego próbował. Ale mimo to koncentracja jest w naszej kulturze czymś jeszcze rzadszym niż dyscyplina. Wbrew oczekiwaniom, nasza kultura prowadzi do rozproszonego i bezładnego sposobu życia. Robisz wiele rzeczy równocześnie: czytasz, słuchasz radia, rozmawiasz, palisz, jesz, pijesz. Jesteś konsumentem z otwartymi ustami, gotowym łykać wszystko - filmy, alkohol, wiedzę. Ten brak skupienia można łatwo zauważyć obserwując trudność, z jaką nam przychodzi przebywać sam na sam z sobą. Dla większości ludzi siedzieć spokojnie w milczeniu, nie palić, nie czytać ani nie pić jest czymś wręcz niemożliwym. Ludzie stają się w takiej sytuacji zdenerwowani i niespokojni, muszą coś zrobić ze swoimi ustami czy rękami (palenie stanowi właśnie jeden z symptomów tego braku skupienia; zajęte są przy nim ręce, usta, oczy i nos).

Trzecim czynnikiem jest c i e r p l i w o ś ć . I znowu każdy, kto kiedykolwiek próbował opanować jakąś sztukę, wie, że bez cierpliwości nie osiągnie się niczego. Jeżeli chce się dojść do szybkich rezultatów, nigdy się danej sztuki nie opanuje. A jednak dla dzisiejszego człowieka cierpliwość jest w praktyce równie trudna jak dyscyplina i skupienie. Cały nasz system przemysłowy sprzyja czemuś wręcz przeciwnemu: pośpiechowi. Wszystkie nasze maszyny nastawione są na szybkość: samochód i samolot przenoszą nas w błyskawicznym tempie do miejsca przeznaczenia-) im szybciej, tym lepiej. Maszyna, która może produkować tę samą ilość w czasie o połowę krótszym, jest dwa razy lepsza od starszej i pracującej wolniej. Naturalnie, że istnieją po temu ważne przyczyny ekonomiczne. Ale, jak w tylu innych przypadkach, wartości ludzkie zostały podporządkowane wartościom ekonomicznym. Co jest dobre dla maszyny, musi być dobre dla człowieka - tak dyktuje logika. Dzisiejszy człowiek

uważa, że traci coś - czas - kiedy nie działa dość szybko; a jednak nie wie potem, co zrobić z czasem, który zyskał - może go tylko „zabić”.

Wreszcie warunkiem koniecznym do opanowania jakiejś sztuki jest pełne zaangażowanie się w pracę nad nią. Jeśli sztuka ta nie stanie się dla ucznia czymś najważniejszym, nigdy jej nie opanuje. W najlepszym wypadku pozostanie dobrym dyletantem, ale nigdy nie stanie się mistrzem. Warunek ten jest równie niezbędny przy opanowaniu sztuki miłości jak każdej innej sztuki. Wydaje się jednak, że w sztuce miłości stosunek ilościowy mistrzów do dyletantów wskazuje na *znaczniejszą* niż w jakiegokolwiek innej sztuce przewagę dyletantów.

W związku z ogólnymi warunkami opanowania jakiejś sztuki należy wspomnieć o jeszcze jednej sprawie. Naukę każdej sztuki zaczyna się nie wprost, ale - by tak rzec- pośrednio. Najpierw trzeba sobie przyswoić wiele innych, często pozornie zupełnie z nią nie związanych umiejętności, zanim zacznie się uczyć właściwej sztuki. Uczeń stolarski zaczyna od próby heblowania deski; ktoś, kto uczy się sztuki łucznictwa Zeń, zaczyna od ćwiczeń oddechowych.¹ Jeśli ktoś chce zostać mistrzem w jakiejś sztuce, musi jej poświęcić albo przynajmniej podporządkować całe życie. Własna osoba staje się narzędziem do uprawiania sztuki, narzędziem, które ma być sprawne, zdolne do wykonywania właściwych mu czynności. W odniesieniu do sztuki miłości oznacza to, że każdy, kto ma ambicję, aby się stać mistrzem w tej dziedzinie, musi *zacząć* od uprawiania dyscypliny, skupienia i cierpliwości we wszystkich sferach swego życia.

Jak należy uprawiać dyscyplinę? Nasi dziadkowie byli niewątpliwie lepiej przygotowani do odpowiedzi na to pytanie. Zalecali, aby wstawać wcześniej, nie pozwalać sobie na niepotrzebny zbytek i ciężko pracować. Taki typ dyscypliny miał oczywiście pewne wady. Była to dyscyplina surowa i autorytatywna, kładąca główny nacisk na umiarkowanie i oszczędność i pod wieloma względami wroga wobec życia. Ale jako reakcja na ten typ dyscypliny wyrastała tendencja, aby nieufnie podchodzić do każdej dyscypliny i aby z niezdyscyplinowania i leniwego folgowania sobie na pozostałych odcinkach życia stworzyć przeciwwagę i zrównoważenie zrutynizowanego trybu życia narzuconego nam w czasie ośmiu godzin pracy. Wstawać regularnie o tej samej porze, regularnie poświęcać pewną ilość czasu w ciągu dnia na takie zajęcia jak rozmyślanie, czytanie, słuchanie muzyki, spacer; nie oddawać się, przynajmniej nie wykraczając poza pewne minimum, takim rozrywkom jak na przykład czytanie powieści lub oglądanie błahych filmów, nie przejadać się, nie pić za wiele - oto kilka jasnych i podstawowych zasad. Jednakże jest rzeczą istotną, by dyscypliny nie uważać za jakiś nakaz narzucony z zewnątrz, lecz aby stała się ona wyrazem własnej woli; by ją odczuwać

jako coś przyjemnego, by powoli dojść do takiego stanu ducha, że odczuwałoby się jej brak jako nieprzyjemny. Jednym z niefortunnych aspektów naszej zachodniej koncepcji dyscypliny (jak każdej innej cnoty) jest mniemanie, iż stosowanie jej w praktyce jest dość przykre i że jedynie wtedy, kiedy jest przykre, może być „dobre”. Wschód już bardzo dawno zrozumiał, że to, co jest dla człowieka dobre - zarówno dla ciała, jak i dla ducha - musi być również przyjemne, nawet gdy początkowo trzeba przezwyciężyć pewne opory.

Koncentracja wewnętrzna jest o wiele trudniejsza do urzeczywistnienia w naszej kulturze, w której wszystko zdaje się jej przeciwdziałać. Najważniejszy krok na drodze do koncentracji to nauczyć się być samemu, nie czytając, nie słuchając radia, nie paląc ani nie pijąc. Umieć się ^koncentrować znaczy umieć pozostawać samemu z sobą - a to właśnie jest warunkiem zdolności kochania. Jeżeli jestem przywiązany do drugiego człowieka, ponieważ nie potrafię stać na własnych nogach, on lub_ ona mogą być moim ratunkiem w życiu, ale tego rodzaju związek nie jest miłością. Brzmi to jak paradoks, ale umiejętność przebywania samotnie^ jest warunkiem zdolności kochania. Każdy, kto próbuje być sam z sobą, przekona się, jakie to trudne. Będzie niespokojny, podekscytowany albo nawet dozna uczucia poważnego lęku. Będzie skłonny wytłumaczyć sobie swoją niechęć do kontynuowania tych praktyk myśląc, że to nie ma żadnej wartości, że to po prostu głupota, że zabiera za dużo czasu, i tak dalej. Zaobserwuje również, że przychodzą mu do głowy i opanowują go przeróżne myśli. Przekona się, że będzie się raczej zastanawiał, co robić później w ciągu dnia, albo będzie rozmyślał o jakichś trudnościach w pracy, którą ma wykonać, albo gdzie się wybrać wieczorem, albo o jakichkolwiek innych rzeczach, które zajmą jego umysł, niż dopuści do tego, aby zapanowała w nim pustka. Rzeczą pomocną będzie wykonać kilka bardzo prostych ćwiczeń, jak na przykład usiąść w wygodnej pozycji (ani zbyt swobodnie, ani zbyt sztywno), zamknąć oczy, spróbować zobaczyć przed sobą biały ekran i usiłować pozbyć się wszystkich natrętnych obrazów i myśli, a potem starać się poddać swojemu oddechowi; nie myśleć o nim, nie oddychać sztucznie, lecz po prostu poddać się mu, a jednocześnie zdawać sobie z niego sprawę, następnie starać się odczuć sens własnego „ja”; ja sam jako ośrodek moich sił, ja jako twórca mojego świata. Powinno się przeprowadzać takie ćwiczenia koncentracji przynajmniej dwadzieścia minut każdego rana (a jeżeli to możliwe i dłużej) i każdego wieczora przed położeniem się do łóżka.² Obok takich ćwiczeń człowiek musi się nauczyć skupiać na wszystkim, co robi: na słuchaniu muzyki, czytaniu książki, rozmowie z drugim człowiekiem, na oglądaniu pejzażu. To, co się robi w danym momencie, musi być jedyną *rzeczą*, której się człowiek całkowicie oddaje. Jeżeli ktoś się skoncentrował, nieistotne jest, co robi; rzeczywistość rzeczy ważnych i nieważnych przybiera nowe wymiary, ponieważ w danym

momencie skupia na sobie całą uwagę człowieka. Chcąc się nauczyć koncentracji, należy w miarę możliwości unikać prowadzenia banalnych rozmów, to znaczy takich rozmów, które są nieistotne. Jeżeli dwoje ludzi rozmawia ze sobą o tym, jak rośnie drzewo, które oboje znają, albo o smaku chleba, który dopiero co razem jedli, albo o wspólnym przeżyciu w swojej pracy, taka rozmowa może mieć znaczenie pod warunkiem, że doświadczyli tego, o czym rozmawiają, i nie traktują tej rozmowy w sposób oderwany; z drugiej strony, rozmowa może toczyć się na temat polityki czy religii, a mimo to być banalna; *zdarza się* to wtedy, kiedy dwoje ludzi posługuje się komunałami i nie wkłada serca w to, co mówią w danej chwili. Powinienem dodać w tym miejscu, że równie ważne jak unikanie banalnej rozmowy jest unikanie złego towarzystwa. Przez złe towarzystwo nie rozumiem bynajmniej jedynie ludzi zepsutych i szkodliwych; tych bowiem powinno się unikać ze względu na to, że stwarzają wokół siebie trującą i przytłaczającą atmosferę. Mam tu na myśli towarzystwo „żywych trupów”, ludzi, których dusza jest martwa, chociaż ich ciało żyje; ludzi, których myśli i rozmowy są banalne, którzy plotą, a nie mówią, i którzy wypowiadają wyświechtane frazesy zamiast myśleć. Jednakże nie zawsze jest możliwe unikanie towarzystwa takich ludzi, a nawet nie zawsze konieczne. Jeżeli nie reaguje się tak, jak oczekuje tego nasz rozmówca - to znaczy oklepanymi frazesami i banałami - ale prowadzi się rozmowę wprost i po ludzku, często się zdarza, że człowiek taki zmienia swoje zachowanie, w czym pomaga mu zaskoczenie czymś niespodziewanym.

Umieć skoncentrować się na innych znaczy przede wszystkim umieć słuchać. Większość ludzi słucha innych, a nawet udziela im rad, nie słuchając naprawdę. Nie traktują oni poważnie ani słów drugiego człowieka, ani swoich własnych odpowiedzi. Skutek jest taki, że rozmowa ich męczy. Wydaje im się, że byliby jeszcze bardziej zmęczeni, gdyby słuchali ze skupieniem, ale prawda jest wręcz odwrotna. Każda czynność, jeżeli wykonuje się ją ze skupieniem, działa na człowieka pobudzająco (choć potem przychodzi naturalne i dobroczynne zmęczenie), podczas gdy każda czynność, przy której się nie skupiamy, działa usypiająco - powodując równocześnie bezsenność w czasie nocnego wypoczynku.

Skoncentrować się znaczy żyć w pełni teraźniejszością, daną chwilą, a nie myśleć o następnej rzeczy, którą trzeba zrobić, jeśli w danej chwili robi się to, co należy. Nie trzeba dodawać, że koncentrować się powinni przede wszystkim ludzie, którzy się wzajemnie kochają. Muszą się nauczyć być blisko siebie, nie rozpraszając się w wielu kierunkach równocześnie, jak się to zazwyczaj dzieje. Pierwsze próby koncentracji będą na pewno trudne. Będzie się nam wydawało, że nigdy nie osiągniemy celu. Nie trzeba chyba nawet przypominać, że niezbędną przy tym rzeczą jest cierpliwość. Jeżeli ktoś nie wie, że wszystko

wymaga czasu, i chce pospieszać sprawę, wtedy rzeczywiście nigdy nie uda mu się skupić - ani nie nauczy się kochać. Aby poznać, czym jest cierpliwość, wystarczy przyjrzeć się, jak dziecko uczy się chodzić. Pada, wstaje, znów się przewraca, a jednak próbuje dalej, idzie mu to coraz lepiej, aż wreszcie pewnego dnia zaczyna chodzić. Co mógłby osiągnąć dorosły człowiek, gdyby dążąc do czegoś, co jest dla niego ważne, posiadał cierpliwość i skupienie małego dziecka!

Nie można się nauczyć koncentracji, jeżeli człowiek nie w y c z u w a s a m e g o s i e b i e . Cóż to znaczy? Czy powinno się bez przerwy myśleć o sobie, „analizować” samego siebie? Gdybyśmy mieli mówić o wyczuwaniu maszyny, nie byłoby większych trudności z wyjaśnieniem, o co chodzi. Na przykład każdy, kto prowadzi sarnochód, wyczuwa go. *Zauważa* nawet mały nienormalny stuk, jak również najdrobniejszą różnicę przy włączaniu silnika. W taki sam sposób kierowca wyczuwa zmiany nawierzchni drogi i ruch pojazdów jadących przed nim i za nim. A jednak n i e m y ś l i o tych wszystkich czynnikach; jego umysł znajduje się w stanie odprężonego pogotowia, w każdej chwili gotowy zareagować na wszelkie istotne zmiany mające związek z sytuacją, na której się skupia - w tym wypadku na bezpiecznym prowadzeniu samochodu.

Gdybyśmy się przyjrzeni, jak wygląda wyczuwanie drugiego człowieka, najlepszy tego przykład znajdziemy w wyczuwaniu i wrażliwości matki wobec jej dziecka. *Zauważa* jego pewne zmiany cielesne, żądania, niepokoje, zanim jeszcze się ujawnią. Budzi ją płacz dziecka, gdy inne, i to znacznie głośniejsze dźwięki, nigdy by jej nie obudziły. Wszystko to wskazuje, że wyczuwa przejawy życia dziecka; nie jest ani niespokojna, ani zmartwiona, ale jest w stanie czujnej równowagi, czulej na każdy istotny sygnał pochodzący od dziecka. W ten sam sposób człowiek może wyczuwać sam siebie. Ktoś zdaje sobie na przykład sprawę z uczucia zmęczenia czy depresji, i zamiast mu się poddawać i podtrzymywać je ponurymi myślami, które są zawsze na podorędziu, pyta sam siebie: „Co się stało? Dlaczego jestem w takim złym nastroju?” To samo dzieje się, kiedy człowiek *zauważa*, że jest zirytowany, rozzłoszczony czy też ma ochotę trochę pomarzyć albo oddać się jakiemuś zajęciu, które pozwoli mu uciec przed własnymi myślami. W każdym z tych przykładów jest rzeczą ważną, aby zdać sobie z tego sprawę, a nie próbować tłumaczyć to rozumowo na tysiąc i jeden możliwych sposobów; co więcej, należy być wrażliwym na nasz wewnętrzny głos, który powie nam -często bardzo szybko - dlaczego jesteśmy niespokojni, przygnębieni czy zdenerwowani.

Przeciętny człowiek posiada wyczucie procesów, jakie zachodzą w jego ciele; *zauważa* wszelkie zmiany albo bardzo nieznaczny nawet ból; tego rodzaju cielesnej wrażliwości stosunkowo łatwo doświadczyć, ponieważ większość ludzi posiada wyobrażenie, co to znaczy

czuć się zupełnie zdrowym. Znacznie trudniejszą sprawą jest takie samo wyczucie psychiki, ponieważ wielu ludzi nie spotkało w życiu nikogo, kto by pod tym względem nie pozostawiał nic do życzenia. Uznają, oni za normę psychiczną strukturę swoich rodziców i krewnych albo też całej grupy społecznej, w której się urodzili, i póki się od nich nie różnią, uważają się za normalnych i nie interesuje ich obserwacja żadnych wewnętrznych zjawisk. Jest na przykład wielu ludzi, którzy nigdy nie widzieli kochającego człowieka albo człowieka posiadającego pełną niezależność, odważnego czy umiejącego się skoncentrować. Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że aby móc wyczuwać samego siebie, musi się mieć obraz pełnego, zdrowego ludzkiego funkcjonowania - ale jak takie wyobrażenie zdobyć ma ktoś, kto nigdy go nie posiadał -ani w dzieciństwie, ani jako człowiek dorosły? Odpowiedź na to pytanie na pewno nie jest łatwa; ale pytanie wskazuje na jeden bardzo krytyczny czynnik w naszym systemie wychowawczym .

Chociaż wpajamy wiedzę, zaniedbujemy tę jej gałąź, która jest najważniejsza w rozwoju człowieka: naukę, której może udzielać sama obecność dojrzałej, kochającej osoby. W ubiegłych epokach, i to zarówno w naszej kulturze, jak w Chinach czy Indiach, najwyżej ceniono człowieka o wybitnych walorach duchowych. Nawet nauczyciel nie był jedynie czy nawet przede wszystkim źródłem informacji, lecz zadaniem jego było przekazywanie pewnych ludzkich postaw. We współczesnym społeczeństwie przemysłowym ludzie uznawani za godnych podziwu i naśladowania posiadają może inne walory, ale nie mają jakichś specjalnych wartości duchowych. To oni są w zasadzie w oczach opinii publicznej tymi, którzy dają przeciętnemu człowiekowi uczucie zastępczego zadowolenia. Gwiazdy filmowe, piosenkarze, reporterzy, ważne osobistości ze świata przemysłu czy polityki - oto modele do naśladowania. Do roli, jaką odgrywają, często kwalifikuje ich głównie fakt, że udało im się uzyskać rozgłos. A jednak sytuacja nie wydaje się tak zupełnie beznadziejna. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że taki człowiek jak Albert Schweitzer mógł stać się sławny w Stanach Zjednoczonych, jeżeli uzmysłowimy sobie, ile jest możliwości zaznajomienia naszej młodzieży z żyjącymi i historycznymi postaciami, które pokazują, ile mamy do zrobienia jako ludzie, a nie jako „zabawiacze” innych, jeżeli pomyśli się o wspaniałych dziełach literatury i sztuki na przestrzeni wieków, to jednak wydaje się, że jest pewna szansa na stworzenie wizji dobrego ludzkiego działania, a tym samym wyczucia, kiedy to działanie jest złe. Gdyby nam się nie udało utrzymać wizji dojrzałego, pełnego życia, wtedy rzeczywiście staniemy wobec możliwości załamania się całej naszej kulturalnej tradycji. Tradycja ta nie opiera się przede wszystkim na przekazywaniu pewnych rodzajów wiedzy, ale na wpajaniu pewnych ludzkich cech. Jeżeli następne pokolenia przestaną szanować te cechy, pięćdziesięciowiekowa kultura

załamie się, nawet jeżeli nagromadzona przez nią wiedza zostanie przekazana i będzie się w dalszym ciągu rozwijać.

Dotąd rozważałem, czego trzeba, aby móc uprawiać dowolny rodzaj sztuki. Teraz rozpatrzę te właściwości, które posiadają szczególne znaczenie dla zdolności kochania. Zgodnie z tym, co powiedziałem o naturze miłości, głównym jej warunkiem jest przezwyciężenie narcyzmu. Narcystyczne nastawienie polega na tym, że człowiek przeżywa jako realną rzeczywistość jedynie to, co istnieje w nim samym, natomiast zjawiska zachodzące w świecie zewnętrznym nie istnieją dla niego same w sobie, lecz doświadczą ich jedynie z punktu widzenia pożytku lub zagrożenia, jakie mogą stanowić. Przeciwnym biegunem narcyzmu jest obiektywizm; jest to zdolność widzenia ludzi i rzeczy takimi, jakie są, obiektywnie, oraz umiejętność oddzielenia obiektywnego obrazu od tego, jaki ukształtowały nasze własne pragnienia i obawy. Wszelkie formy psychozy wykazują niezdolność do obiektywizmu posuniętą do najdalszych granic. Dla człowieka obłąkanego jedyną istniejącą rzeczywistością jest ta, która istnieje w nim samym, rzeczywistość jego lęków i pragnień. Człowiek taki patrzy na świat zewnętrzny jak na symbol swego świata wewnętrznego, jak na swój twór. My wszyscy zachowujemy się w taki sam sposób w czasie snu. W snach tworzymy jakieś wydarzenia, inscenizujemy dramaty, które są wyrazem naszych pragnień i lęków (choć czasem również i naszych intuicji i osądów), w czasie snu jesteśmy przekonani, że nasze marzenia senne są równie realne jak rzeczywistość, którą percypujemy na jawie.

Człowiek psychicznie chory albo marzyciel pozbawiony jest całkowicie możliwości obiektywnego spojrzenia na świat zewnętrzny; ale wszyscy jesteśmy w mniejszym lub większym stopniu chorzy psychicznie lub mniej czy bardziej pogrążeni we śnie; nikt z nas nie posiada obiektywnego spojrzenia na świat, jest ono zawsze zniekształcone przez nasze narcystyczne nastawienie. Czy muszę podawać przykłady? Każdy może je bez trudu *znaleźć* obserwując samego siebie, swoich sąsiadów albo czytając gazety. Różnią się one bardzo pod względem stopnia narcystycznego zniekształcenia rzeczywistości. Na przykład jakaś kobieta telefonuje do lekarza i oświadcza mu, że tego popołudnia chce się zjawić u niego w gabinecie. Lekarz odpowiada, że tego popołudnia jest zajęty, ale że jutro może ją przyjąć. Kobieta odpowiada: „Ależ, doktorze! Ja mieszkam tylko o pięć minut drogi od pańskiego gabinetu!” Nie potrafi zrozumieć, iż fakt, że mieszka tak blisko lekarza, nie przysparza czasu jemu. Przeżywa daną sytuację w sposób typowo narcystyczny: ponieważ ona oszczędza czas, on też go oszczędza; jedyną rzeczywistością istniejącą dla niej jest ona sama.

Mniej krańcowe - albo po prostu może mniej jaskrawe - są zniekształcenia, jakie spotyka się w stosunkach międzyludzkich. Jak wielu rodziców reaguje na zachowanie dziecka biorąc pod uwagę jedynie, czy jest ono posłuszne, czy jest dla nich źródłem radości, czy przynosi im zaszczyt itd., zamiast dostrzegać czy nawet interesować się tym, co ich dziecko czuje samo w sobie? Jak wielu mężów uważa swoje żony za despotki jedynie dlatego, że ich przywiązanie do matki powoduje, że każde żądanie żony tłumaczą sobie jako ograniczenie swobody? Jak wiele żon sądzi, że mają głupich, niedoświadczonych mężów, ponieważ nie są podobni do fantastycznego obrazu rycerzy z bajki, jaki wytworzyły sobie w wyobraźni jeszcze w dziecięcych latach?

Znany jest brak obiektywizmu, jeśli chodzi o stosunek do innych narodów. Z dnia na dzień robi się z jakiegoś narodu naród do gruntu zdeprawowany i fanatyczny, podczas gdy nasz własny jest uosobieniem wszystkiego, co dobre i szlachetne. Każde działanie nieprzyjaciela ocenia się według jednego kryterium, każde własne działanie - według innego. Nawet dobre uczynki nieprzyjaciela traktuje się jako oznakę szczególnej diabelskiej przewrotności, mającej na celu oszukanie nas i całego świata, podczas gdy nasze złe uczynki są konieczne i usprawiedliwione ze względu na szlachetne cele, jakim służą. Jeżeli zbada się stosunki pomiędzy narodami, tak samo jak między poszczególnymi ludźmi, dojdziemy do wniosku, że obiektywizm jest naprawdę czymś zupełnie wyjątkowym, natomiast większe lub mniejsze narcystyczne zniekształcenie jest regułą.

Zdolność do obiektywnego myślenia to rozum; emocjonalna postawa kryjąca się za rozumem to postawa pokory. Być obiektywnym i posługiwać się rozumem można tylko wtedy, jeśli się osiągnęło pokorę, jeśli się wyzwoliło od marzeń o wszechwiedzy i wszechpotędze, jakie miało się w dzieciństwie.

Dla naszych rozważań o praktyce sztuki miłości oznacza to, iż miłość - jako że *zależy* od ograniczenia narcyzmu — wymaga rozwoju pokory, obiektywizmu i rozumu. Aby to osiągnąć, trzeba poświęcić całe życie. Pokora i obiektywizm są niepodzielne, tak samo jak niepodzielna jest miłość. Nie mogę zdobyć się na prawdziwy obiektywizm wobec mojej rodziny, jeżeli nie posiadam go w stosunku do obcych ludzi, i na odwrót. Jeżeli chcę nauczyć się sztuki miłości, muszę dążyć do obiektywizmu w każdej sytuacji życiowej i wyczuwać te momenty, w których go zatracam. Muszę starać się dostrzegać różnicę między moim wizerunkiem danego człowieka i jego zachowania zniekształconym przez mój narcyzm a jego realną postacią, taką, jaka jest naprawdę, niezależnie od moich interesów, potrzeb i obaw. Zdobycie obiektywizmu i rozumny pogląd na świat to przebyć połowę drogi do opanowania sztuki miłości, z tym jednak, że ma się to odnosić do każdego, z kim wchodzimy w kontakt.

Gdyby ktoś chciał stosować obiektywizm jedynie wobec osoby kochanej i sądził by, że może się z niego rozgrzeszyć wobec reszty świata, przekona się niedługo, że przegra zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku.

A zdolność kochania zależy od tego, czy człowiek potrafi wyzbyć się swego narcyzmu i kazirodzkiego przywiązania do matki i klanu; zależy O również od tego, czy potrafimy hodować i rozwijać w sobie produktywne nastawienie w naszych związkach ze światem i nami samymi. Ten proces wyzwala się, narodzin, budzenia się — wymaga jednego niezbędnego warunku, a mianowicie w i a r y . Praktykowanie sztuki miłości wymaga wiary.

Co to jest wiara? Czy musi to być koniecznie wiara w Boga lub w doktryny religijne? Czy wiara musi koniecznie przeciwstawiać się albo rozchodzić z rozumem i racjonalnym sposobem myślenia? Aby choć zacząć pojmować problem wiary, należy oddzielić wiarę r a c j o n a l n ą od i r r a c j o n a l n e j . Przez wiarę irracjonalną rozumiem wiarę (w człowieka lub ideę) opartą na poddaniu się irracjonalnemu autorytetowi. W przeciwieństwie" do tego wiara racjonalna jest przekonaniem, które ma swe źródło we własnych doznaniach myślowych i czuciowych. Wiara racjonalna nie jest więc przede wszystkim wierzeniem w coś, lecz jest cechą pewności i trwałości, którą posiadają nasze przekonania. Taka wiara jest raczej rysem charakteru przepajającym całą osobowość niż wyznawaniem jakichś szczególnych prawd.

Racjonalna wiara ma swoje źródło w produktywnej działalności intelektualnej i emocjonalnej. W racjonalnym sposobie myślenia, w którym rzekomo dla wiary nie ma miejsca, wiara racjonalna jest bardzo istotnym czynnikiem. Jak na przykład jakiś naukowiec dochodzi do nowego odkrycia? Czy zaczyna przeprowadzać jedno doświadczenie za drugim, gromadzi fakt po fakcie, nie mając wyobrażenia, co spodziewa się odkryć? Bardzo rzadko dokonano w ten sposób prawdziwie doniosłego odkrycia na jakimkolwiek polu. Nikt również nie dochodzi do ważnych wniosków idąc jedynie tropem własnej fantazji. Proces twórczego myślenia na jakimkolwiek polu ludzkich zabiegów często zaczyna się od czegoś, co można by nazwać „racjonalną wizją”, która jest wynikiem uprzednich studiów, rozważnego myślenia i obserwacji. Kiedy naukowcowi uda się zebrać wystarczającą ilość danych albo wypracować jakiś matematyczny wzór, który ma przekonać, że jego pierwotna wizja jest wysoce prawdopodobna, można o nim powiedzieć, iż dojrzał do prowizorycznej hipotezy. Jej staranna analiza, mająca na celu dostrzeżenie jej implikacji oraz zebranie danych, które mają

ją potwierdzić, prowadzi do bardziej adekwatnej hipotezy i w końcu może do włączenia jej do szeroko zakrojonej teorii.

Historia nauki pełna jest przykładów wiary w rozum i wizję prawdy. Kopernik, Kepler, Galileusz i Newton - wszystkich ich przepajała niewzruszona wiara w rozum. Właśnie za to Bruno spłonął na stosie, a Spinoza obłożony został ekskomuniką. Wiara konieczna jest na każdym kroku, od chwili poczęcia się racjonalnej wizji do momentu sformułowania teorii: wiara w wizję jako racjonalnie uzasadniony cel poszukiwań, wiara w hipotezę jako w prawdopodobne i możliwe do przyjęcia założenie i wiara w ostateczną teorię, przynajmniej tak długo, dopóki jej słuszność nie zostanie ogólnie uznana. Wiara ta ma swe źródło we własnym przeżyciu, w zaufaniu we własną potęgę myśli, obserwacji i osądu. Podczas gdy wiara irracjonalna jest przyjęciem czegoś za prawdziwe jedynie dlatego, że tak twierdzi jakiś autorytet czy większość ludzi, wiara racjonalna ma swoje źródło w niezależnym przekonaniu, opartym na własnej produktywnej obserwacji i myśleniu, często w b r e w opinii większości.

Myśl i osąd nie są jedynymi dziedzinami w obszarze ludzkiego doświadczenia, w których przejawia się racjonalna wiara. W sferze stosunków ludzkich wiara jest nieodzowną cechą każdej przyjaźni czy miłości. Wierzyć w drugiego człowieka oznacza być pewnym solidarności i niezmienności jego zasadniczych poglądów, samego sedna jego osobowości, jego miłości. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że człowiek nie może zmieniać swoich opinii, ale podstawowe pobudki, jakimi się kieruje, pozostają te same; na przykład poszanowanie życia i godności ludzkiej przez danego człowieka jest niejako częścią jego samego, czymś, co nie może ulec zmianie.

W tym samym sensie posiadamy wiarę w siebie. Zdajemy sobie sprawę z istnienia swego ja, z samego sedna naszej osobowości, które jest niezmiennie i które trwa przez całe życie mimo rozmaitych kolei losu, niezależnie od pewnych przeobrażeń w naszych zapatrywaniach czy uczuciach. Jest to owo sedno naszej osobowości, które stanowi rzeczywistość odpowiadającą słowu „ja” i na którym opiera się przekonanie o naszej własnej tożsamości. Póki nie posiadamy wiary w trwałość istnienia naszego ja, poty nasze poczucie tożsamości jest zagrożone, stajemy się wówczas zależni od innych ludzi, których aprobatą staje się podstawą naszego poczucia tożsamości. Jedynie człowiek, który ma wiarę w siebie, może dochować wierności innym, ponieważ może być pewny, że pozostanie taki sam w przyszłości, jaki jest dzisiaj, a zatem, że będzie czuł i postępował tak, jak się tego obecnie spodziewa. Wiara w siebie jest warunkiem, abyśmy mogli coś obiecywać, a wobec tego, że jak powiedział Nietzsche, człowieka można określić według zdolności do składania przyrzeczeń, wiara jest jednym z

warunków ludzkiego istnienia. Jeżeli chodzi o miłość, liczy się wiara we własną miłość, w jej zdolność budzenia miłości u innych i w jej trwałość.

Inne znaczenie posiadania wiary w jakiegoś człowieka dotyczy wiary, jaką pokładamy w możliwościach innych ludzi. Najbardziej elementarną formą, w jakiej ta wiara istnieje, jest ta, którą żywi matka w stosunku do swego nowo narodzonego dziecka: że będzie żyło, że będzie rosło, chodziło i mówiło. A przecież rozwój dziecka pod tym względem przebiega z taką regularnością, że tego rodzaju przewidywania nie wydają się wymagać wiary. Inaczej sprawa się przedstawia z tymi możliwościami, które mogą się nie rozwinąć: nie wiadomo na przykład, czy dziecko będzie umiało kochać, czy potrafi być szczęśliwe, żyć rozumnie i czy będzie posiadało jakieś szczególne możliwości, na przykład uzdolnienia artystyczne. Są to nasiona, które mogą wykiełkować lub nie i w których zawarte potencje ujawnią się, jeżeli dane będą odpowiednie warunki do ich rozwoju, natomiast gdy tych warunków brak, mogą zostać zdławione.

Jednym z najważniejszych warunków jest to, ażeby człowiek, odgrywający w życiu dziecka zasadniczą rolę, wierzył w te możliwości. Właśnie istnienie tej wiary stwarza różnicę pomiędzy wychowywaniem a manipulacją. Wychowywanie jest równoznaczne z udzielaniem pomocy dziecku w realizacji jego możliwości. Przeciwnieństwem wychowywania jest autorytarne kierowanie, oparte na braku wiary w rozwój tych możliwości i na przekonaniu, że dziecko będzie takie jak trzeba tylko wtedy, jeżeli dorośli wpoją mu to, co uważają za pożądane, a usuną wszystko, co wydaje im się niepożądane. Nie trzeba wierzyć w robota - jest martwym przedmiotem.

Wiara w innych osiąga swój punkt kulminacyjny w wierze w ludzkość. W świecie zachodnim wiara ta znalazła wyraz w religijnych kategoriach w religii judeochrześcijańskiej, natomiast na płaszczyźnie świeckiej przejawiała się najdobitniej w humanistycznych ideach politycznych i społecznych ostatnich stu pięćdziesięciu lat. Podobnie jak wiara w dziecko opierają się one na przekonaniu, że możliwości człowieka są takie, iż jeżeli stworzy mu się odpowiednie warunki, potrafi on zbudować ład społeczny, w którym rządzić będą zasady równości, sprawiedliwości i miłości. Jak dotąd człowiekowi nie udało się jeszcze zbudować takiego ładu i dlatego przekonanie, że potrafi tego dokonać, wymaga wiary. Ale tak samo jak każda racjonalna wiara, i ta również nie jest jakimś pobożnym życzeniem, ale opiera się na dowodach minionych osiągnięć rodzaju ludzkiego i na wewnętrznym doznaniu każdego człowieka, na jego własnym odczuciu rozumu i miłości.

Podczas gdy wiara irracjonalna ma swe źródło w poddaniu się potędze odczuwanej jako przemożna, wszechwiedząca i wszechmocna i w rezygnacji z własnej potęgi i siły, wiara

racjonalna opiera się na wręcz przeciwnym doznaniu. Wiara ta tkwi w myśli, ponieważ jest wynikiem naszych własnych obserwacji i przemyśleń. Wierzymy w możliwości innych, nas samych i w możliwości całej ludzkości tylko w takim stopniu, w jakim odczuliśmy rozwój naszych własnych możliwości, realność rozwoju nas samych, siłę naszej własnej potęgi rozumu i miłości. Podstawą racjonalnej wiary jest produktywność; żyć w zgodzie z zasadami naszej wiary znaczy żyć w sposób produktywny. Wynika z tego, że wiara w siłę (w sensie panowania) i stosowanie siły jest odwrotnością prawdziwej wiary. Wiara w siłę, która istnieje, jest tym samym co niewiara w rozwój możliwości, które nie zostały jeszcze zrealizowane. Jest to zapowiedź przyszłości oparta wyłącznie na przejawach teraźniejszości; okazuje się to poważnym przeliczeniem w rachubach, aktem głęboko irracjonalnym w swoim pomijaniu ludzkich możliwości i ludzkiego rozwoju. Nie ma racjonalnej wiary w potęgę. Jest tylko z jednej strony poddanie się jej lub, z drugiej strony - u tych, którzy ją posiadają - chęć jej utrzymania. Podczas gdy dla wielu potęga wydaje się czymś najbardziej realnym ze wszystkiego, historia ludzkości udowodniła, że jest to coś najmniej stałego ze wszystkich ludzkich osiągnięć. A że wiara i potęga wzajemnie się wykluczają, wszystkie religie i systemy polityczne, pierwotnie zbudowane na racjonalnej wierze, zaczynają ulegać rozkładowi i w końcu tracą posiadaną moc, jeżeli polegają na sile lub się z nią sprzymierzają.

Wiara wymaga odwagi, umiejętności podejmowania ryzyka, a nawet gotowości zaznania bólu czy rozczarowania. Kto domaga się bezpieczeństwa i pewności jako najważniejszych warunków życia, nie może posiadać wiary; kto obwarowuje się w systemie obrony, w którym środkami mającymi zapewnić bezpieczeństwo jest zachowanie dystansu i posiadanie, czyni z siebie więźnia. Na to, aby być kochanym i kochać samemu, trzeba odwagi, uznania pewnych wartości za godne najwyższego zainteresowania oraz wytrwałości w ich kultuwowaniu.

Tego rodzaju odwaga w zasadniczy sposób różni się od tej, jaką miał na myśli słynny blagier Mussolini, kiedy użył sloganu: „Żyć życiem pełnym niebezpieczeństw”. Jego rodzaj odwagi jest odwagą nihilizmu. Ma ona swoje źródło w destruktywnej postawie życiowej, w chęci odrzucenia życia, ponieważ nie jest się zdolnym go pokochać. Odwaga rozpacz jest przeciwieństwem odwagi miłości, tak samo jak wiara w siłę jest przeciwieństwem wiary w życie.

Czy jest w dziedzinie wiary i odwagi coś, co należy stosować w praktyce? Prawdę mówiąc, wiarę można praktykować każdej chwili. Wymaga wiary wychowanie dziecka, wymaga wiary zasypianie, wymaga jej podjęcie jakiejkolwiek pracy. Wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni do tego rodzaju wiary. Każdy, kto jej nie ma, cierpi z powodu nadmiernego lęku o swoje dziecko albo z powodu bezsenności, albo dlatego, że nie potrafi wykonać żadnej

produktywnej pracy; albo jest podejrzliwy, powstrzymuje się od bliższych kontaktów z kimkolwiek, staje się hipochondrykiem, albo też nie potrafi robić żadnych planów na dłuższą metę. Trwanie przy swoim zdaniu na temat jakiegoś człowieka, nawet jeżeli opinia publiczna czy jakieś nieprzewidziane fakty wydają się przeczyć naszej opinii, trwanie przy swoich przekonaniach nawet wówczas, kiedy są one niepopularne - wszystko to wymaga wiary i odwagi. Traktowanie trudności, porażek i zmartwień, jakie przynosi życie, raczej jako próby sił, z której wyjście czyni nas silniejszymi, niż jako niesłusznej kary, która nas nie powinna spotkać - również wymaga wiary i odwagi.

Praktykowanie wiary i odwagi zaczyna się od drobiazgów codziennego życia. Pierwszy krok to zauważyć, gdzie i kiedy tracimy wiarę, zanalizować argumenty, jakie wynajdujemy dla jej utraty, zorientować się, w jakiej sytuacji zachowujemy się tchórzliwie, i znowu uświadomić sobie, jak się z tego tłumaczymy. Zrozumieć, jak każde sprzeniewierzenie się wierze osłabia człowieka i jak zwiększona słabość prowadzi do nowych sprzeniewierzeń, czyniąc błędne koło. Wtedy człowiek zda sobie sprawę, że gdy w swojej świadomości objawia mu się, że nie jest kochany, to w istocie w nim samym tkwi - zazwyczaj podświadomy - lęk przed miłością. Kochać oznacza powierzyć się komuś bez żadnych zastrzeżeń, oddać się całkowicie w nadziei, że nasza miłość wywoła miłość człowieka, którego kochamy. Miłość jest aktem wiary; każdy, kto ma mało wiary, ma mało miłości. Czy można powiedzieć coś więcej o praktyce wiary? Może kto inny mógłby; gdybym był poetą czy kaznodzieją, może bym spróbował. Ale ponieważ nie jestem, nie mogę nawet próbować powiedzieć nic więcej o praktyce wiary, lecz jestem pewien, że każdy, komu na tym naprawdę zależy, może się nauczyć wierzyć, tak samo jak dziecko uczy się chodzić.

Postawą niezbędną do praktyki sztuki miłości, wspomnianą dotąd jedynie mimochodem, a którą należałoby omówić dokładnie, jako że jest ona rzeczą zasadniczą w praktyce sztuki miłości, jest aktywność. Powiedziałem poprzednio, że przez aktywność rozumie się nie „robienie czegoś”, lecz aktywność wewnętrzną, produktywne użycie własnych sił. Miłość jest aktywnością; jeżeli kocham, jestem w stanie ciągłego aktywnego zainteresowania przedmiotem mojej miłości, ale nie tylko nim lub nią. Nie będę zdolny do aktywnego odnoszenia się do osoby, którą kocham, jeżeli jestem leniwy, jeżeli nie jestem w stanie ciągłej świadomości, pogotowia i aktywności. Sen jest jedynym dozwolonym stanem, w którym możemy nie być aktywni; ale kiedy nie śpimy, nie powinno być miejsca na lenistwo. W dzisiejszych czasach wielu ludzi znajduje się w paradoksalnej sytuacji polegającej na tym, że trwają w jakimś półśnie na jawie, a kiedy śpią lub kiedy chcą spać, są na pół rozbudzeni. Aby

nie nudzić siebie ani innych, człowiek musi być w pełni rozbudzony, a nie nudzić się samemu i nie być nudnym dla kogoś - jest to naprawdę jeden z głównych warunków miłości. Być aktywnym w myślach i uczuciach, mieć otwarte oczy i uszy, przez cały dzień unikać wewnętrznego rozleniwienia - biernego doznawania czy zwykłego marnowania czasu - to niezbędny warunek praktyki sztuki kochania. Łudzą się ci, którzy sądzą, że człowiek może podzielić swoje życie w ten sposób, że jest produktywny w sferze miłości, a nieproduktywny we wszelkich innych dziedzinach. Produktywność nie pozwala na taki podział pracy. Zdolność kochania wymaga stanu napięcia, rozbudzenia, zwiększonej żywotności, które mogą być tylko wynikiem produktywnego i aktywnego nastawienia w wielu innych dziedzinach życia. Jeżeli człowiek nie jest produktywny w innych dziedzinach, nie jest również produktywny w miłości.

Rozważań na temat sztuki miłości nie można ograniczyć do sfery osobistej przyswajania sobie i rozwijania tych wszystkich cech i postaw, o których pisałem w tym rozdziale. Miłość jest nierozdzielnie związana z domeną życia społecznego. Jeżeli kochać *znaczy* mieć pełne miłości nastawienie wobec wszystkich, jeżeli miłość jest cechą charakteru, musi ona występować nie tylko w związkach człowieka z własną rodziną i przyjaciółmi, lecz także i wobec tych, z którymi człowiek utrzymuje kontakty poprzez swoją pracę, zajęcie i zawód. Nie ma „podziału pracy” między miłością wobec osób bliskich a miłością wobec obcych. Przeciwnie, warunkiem istnienia pierwszej jest istnienie drugiej. Poważne traktowanie tego rozróżnienia oznacza niewątpliwie dość istotną zmianę w społecznych stosunkach człowieka w porównaniu z tymi, jakie są na ogół przyjęte. Mimo że dużo czczych słów poświęca się religijnemu ideałowi miłości bliźniego, nasze stosunki są w rzeczywistości określane, w najlepszym razie, przez zasadę rzetelności. Rzetelności, która oznacza niestosowanie oszustwa i różnych sztuczek przy wymianie towarów i usług oraz przy wymianie uczuć. „Daję ci tyle, ile ty mi dajesz” - oto etyczna maksyma dominująca w społeczeństwie kapitalistycznym zarówno w odniesieniu do dóbr materialnych, jak i do miłości. Można by nawet powiedzieć, że rozwój etyki rzetelności jest szczególnym wkładem w dziedzinę etyki dokonany przez społeczeństwo kapitalistyczne.

Przyczyn tego należy doszukiwać się w samej naturze społeczeństwa kapitalistycznego. W społeczeństwach przedkapitalistycznych wymiana dóbr określana była przez stosowanie siły, przez tradycję albo przez osobiste więzi miłości czy przyjaźni. W kapitalizmie wszechokreślającym czynnikiem jest wymiana rynkowa. Obojętne, czy mamy do czynienia z rynkiem towarowym, rynkiem pracy czy rynkiem usług, każdy człowiek wymienia to, co ma do

sprzedania, na to, co chce nabyć, zgodnie z warunkami panującymi na rynku, nie uciekając się do użycia siły czy oszustwa.

Etykę rzetelności łatwo pomylić z etyką Złotej Zasady. Maksymę „I co chcielibyście, by wam ludzie czynili, tak i wy czyńcie”, można tłumaczyć: „Bądź rzetelny w procesie wymiany”. W rzeczywistości jednak myśl ta została pierwotnie sformułowana w bardziej popularnej wersji biblijnej: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”. Judeo-chrześcijańska norma miłości braterskiej istotnie różni się całkowicie od etyki rzetelności. Każe ona kochać swego bliźniego, to znaczy czuć się za niego odpowiedzialnym, być z nim zespolonym, podczas gdy etyka rzetelności oznacza, że nie trzeba się czuć odpowiedzialnym i zespolonym, ale że należy się trzymać od niego osobno i z daleka; oznacza ona, że należy szanować prawa bliźniego, ale nie kochać go. Nie jest dziełem przypadku, że Złota Zasada stała się dziś najbardziej popularną religijną maksymą; ponieważ można ją interpretować w kategoriach etyki rzetelności, jest jedyną religijną maksymą, którą każdy rozumie i gotów jest stosować. Ale praktyka miłości musi się rozpocząć od poznania różnicy między rzetelnością a miłością.

Tu jednakże wyłania się ważna kwestia. Jeżeli cała nasza społeczna i ekonomiczna organizacja opiera się na tym, że każdy szuka swojej własnej korzyści, jeżeli rządzi nią zasada egotyzmu łagodzonego jedynie przez zasadę rzetelności, to jak można prowadzić interesy, jak można działać w ramach istniejącego układu społecznego, a równocześnie kochać? Czy miłość nie każe pozbyć się zainteresowania dla dóbr świeckich i nie twierdzi, że należy dzielić los najbiedniejszych żyjąc tak jak oni? Pytanie to postawili i równocześnie odpowiedzieli na nie w sposób radykalny chrześcijańscy mnisi oraz pisarze tacy jak Lew Tołstoj, Albert Schweitzer i Simone Weil. Są jednakże i tacy, którzy twierdzą, że pogodzenie miłości z normalnym świeckim życiem w obrębie naszego społeczeństwa jest absolutną niemożliwością. Dochodzą oni do wniosku, że mówić dzisiaj o miłości to uczestniczyć w ogólnym oszustwie; utrzymują oni, że w dzisiejszym świecie kochać może jedynie albo męczennik, albo szaleniec i że dlatego wszelka dyskusja na temat miłości nie jest niczym innym jak prawieniem kazań. Ten bardzo szacowny punkt widzenia może łatwo posłużyć do usprawiedliwienia cynizmu. Podziela go zresztą po cichu każdy przeciętny człowiek, który myśli: „Chciałbym być dobrym chrześcijaninem, ale gdybym chciał traktować to serio -musiałbym głodować”. Tego rodzaju „radykalizm” kończy się na ogół nihilizmem. Zarówno taki „radykalny” myśliciel, jak i myślący w ten sposób przeciętny człowiek są pozbawionymi uczuć automatami i jedyna różnica między nimi polega na tym, że przeciętny człowiek nie zdaje sobie z tego sprawy, podczas gdy „radykalny myśliciel” wie o tym i uznaje „historyczną konieczność” tego faktu.

Ja osobiście jestem przekonany, że teza o absolutnej niemożności pogodzenia miłości z „normalnym” życiem jest słuszna jedynie w sensie abstrakcyjnym. Zasada leżąca u podłoża społeczeństwa kapitalistycznego i zasada miłości są sprzeczne. Ale nowoczesne społeczeństwo w swym konkretnym kształcie jest zjawiskiem złożonym. Na przykład sprzedawca bezużytecznego towaru nie może uprawiać działalności gospodarczej nie kłamiąc; natomiast zdolny robotnik, chemik czy lekarz mogą. Podobnie rolnik, robotnik, nauczyciel i ludzie wielu innych zawodów mogą próbować kochać nie rezygnując ze swojej działalności gospodarczej. Nawet jeżeli uznaje się, że zasada kapitalizmu nie daje się pogodzić z zasadą miłości, należy przyznać, że kapitalizm sam w sobie jest bardzo złożoną i bezustannie zmieniającą się strukturą, która wciąż zezwala na sporą dawkę nonkonformizmu i osobistej swobody.

Jednakże mówiąc to, nie chcę bynajmniej dawać do zrozumienia, że możemy oczekiwać, iż obecny system społeczny trwać będzie w nieskończoność, a równocześnie mieć nadzieję na urzeczywistnienie się ideału braterskiej miłości. Ludzie zdolni do miłości stanowią w obecnym systemie wyjątek; w dzisiejszym społeczeństwie zachodnim miłość jest z konieczności zjawiskiem marginesowym. Nie tylko dlatego, że uprawianie szeregu zawodów nie pozwoliłoby na traktowanie ludzi z miłością, ale dlatego że duch społeczeństwa koncentrującego swoją uwagę na produkowaniu i łaknącego towarów jest taki, że tylko nonkonformista może się skutecznie przeciwko niemu bronić. Ci, którzy miłość traktują poważnie jako jedyne rozwiązanie problemu ludzkiego istnienia, muszą dojść do przekonania, że jeśli miłość ma się stać zjawiskiem społecznym, a nie indywidualnym i marginesowym, to w naszej strukturze społecznej muszą zajść poważne i radykalne zmiany. O kierunku, w jakim powinny one przebiegać, można w ramach tej książki jedynie napomknąć. Społeczeństwem naszym kieruje urzędniczy aparat menadżerów i zawodowi politycy; ludzie dają się powodować zbiorowej sugestii, celem ich, który staje się celem samym w sobie, jest coraz więcej produkować i coraz więcej konsumować. Cała ludzka działalność podporządkowana jest celom ekonomicznym, środki stają się celami, człowiek jest automatem -dobrze odżywionym, dobrze ubranym, ale nie mającym jakiegokolwiek większego zainteresowania dla tego, co stanowi jego specyficzną ludzką cechę i funkcję. Jeżeli człowiek ma być zdolny do miłości, musi wznieść się na wyższy poziom. Machina ekonomiczna musi służyć jemu, a nie on jej. Człowiek musi mieć zapewniony udział w doznaniach, w pracy, a nie tylko, w najlepszym razie, w zyskach. Społeczeństwo trzeba zorganizować w taki sposób, aby społeczna, przepojona miłością natura ludzka nie została oddzielona od społecznego życia, lecz stopiła się z nim w jedność. Jeżeli jest prawdą, jak usiłowałem to wykazać, że miłość jest jedynym naturalnym i

zadowalającym rozwiązaniem problemu ludzkiego istnienia - wówczas każdy układ społeczny, który wyklucza rozwój miłości, musi po jakimś czasie zginąć na skutek sprzeczności z podstawowymi wymogami ludzkiej natury. Mówienie o miłości nie jest „prawieniem kazań” z tej prostej przyczyny, że oznacza ono mówienie o najwyższej i prawdziwej potrzebie drzemiącej w każdej ludzkiej istocie. To, że tę potrzebę chce się ukryć, nie oznacza bynajmniej, że ona nie istnieje. I Analiza natury miłości prowadzi do odkrycia powszechnego dziś jej braku oraz do krytyki warunków społecznych, z których wynika taki stan rzeczy. Wiara w możliwość miłości jako zjawiska społecznego, a nie wyjątkowego i indywidualnego jest wiarą racjonalną, opartą na wnikięciu w prawdziwą naturę człowieka.

K O N I E C